

NUMER 6



PODCHORĄZY

Następny numer „**PODCHORAŻEGO**” ukaże się dnia 15 stycznia 1936 r.

W nim również podamy wykaz premij fotograficznych z Nr. Nr. 5-go i 6-go.

FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać trwałą współpracę z Nimi, postanowiła wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografie te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty wyjścia danego numeru „Podchorążego”.

Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.

Wszystkim Redaktorom — Korespondentom, Prenumeratorom, Czytelnikom i Współpracownikom, najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne śle

REDAKCJA „**PODCHORAŻEGO**”

PODCHORAŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORAŻYCH

Nr. 6 (79)
15 GRU-
DNIA
1935 R.
ROK V



Pan Prezydent R. P. przed frontem Kompanji Podchorążych w dniu 29. XI. 1935 r. na dziedzińcu zamkowym

WIELKI MARSZAŁEK*)

Ten prosty, a zarazem najwymowniejszy tytuł nosi ostatnia praca znanego historyka, majora dr.

Wacława Lipińskiego. Majora Lipińskiego znamy jako wybitnego i sumiennego historyka, któremu dotychczas zawdzięczaliśmy jedyne syntetyczne opracowanie całokształtu naszych Walk o Niepodległość. Dokładna znajomość źródeł opracowywanej epoki zabarwiona świeżością opisu czerpaną z pamięci bezpośrednich przeżyć z dumnych lat żołnierskiego wysiłku o Polskę, a przede wszystkim naukowa sumienność historyka, przejrzystość układu i żywość stylu nadają zarówno pamiętnikarskim, jak i naukowym publikacjom majora Lipińskiego pierwszorzędą wartość.

Ostatnia praca stoi niewątpliwie u szczytu dotychczasowego Jego dorobku pisarskiego i bezwątpienia zajmuje pierwsze miejsce w literaturze biograficzno-historycznej o Marszałku. Sporo mamy broszurek o życiu i dziele Józefa Piłsudskiego, z których przede wszystkim wymienić należy prace Wacława Sieroszewskiego i Stefana Pomarańskiego, są to jednak opracowania popularyzujące raczej życiorys Marszałka z lekkim i bardzo ogólnym podmalowaniem tła wypadków dziejowych.

Książka Lipińskiego pozbawiona jest balastu zbędnych dat, opiera się o realne fakty, wyjaśniając posunięcia Józefa Piłsudskiego świadomością celu do którego konsekwentnie dążył bez względu na aktualną sytuację polityczną. Pisana początkowo, jako wstęp do niemieckiego wydania dzieł Marszałka, rozrosła się później, po 12 maja, do rozmiarów trzykrotnie większych, stając się najpełniejszą Jego biografją analityczną. „Zrozumieć Józefa Piłsudskiego, ocenić jego rolę i działalność dokonaną w Polsce, można wówczas, jeśli się chociaż w najogólniejszych zarysach zna dzieje Polski, a zwłaszcza losy ostatniego pokolenia Polaków. Na tle bowiem dopiero tych losów, na tle historii ostatniego zwłaszcza stulecia — postać Piłsudskiego występuje z całą wyrazistością i otrzymuje ten rysunek, jaki Mu perspektywa polskiej historii daje” — pisze słusznie W. Lipiński w pierwszym rozdziale swej pracy.

Tło to odtwarza autor z dokładną znajomością jego istoty, odsłaniając niejednokrotnie nowe, lub mniej znane szerszemu ogółowi, jego odcienie. Pierwszy rozdział zatytułowany „Głos pokoleń” daje czytelnikowi obraz ogólnego stanu życia polskiego we wszystkich zaborach, uwzględniając szczególnie okres, w którym urodził się i dorastał Józef Piłsudski, aż do

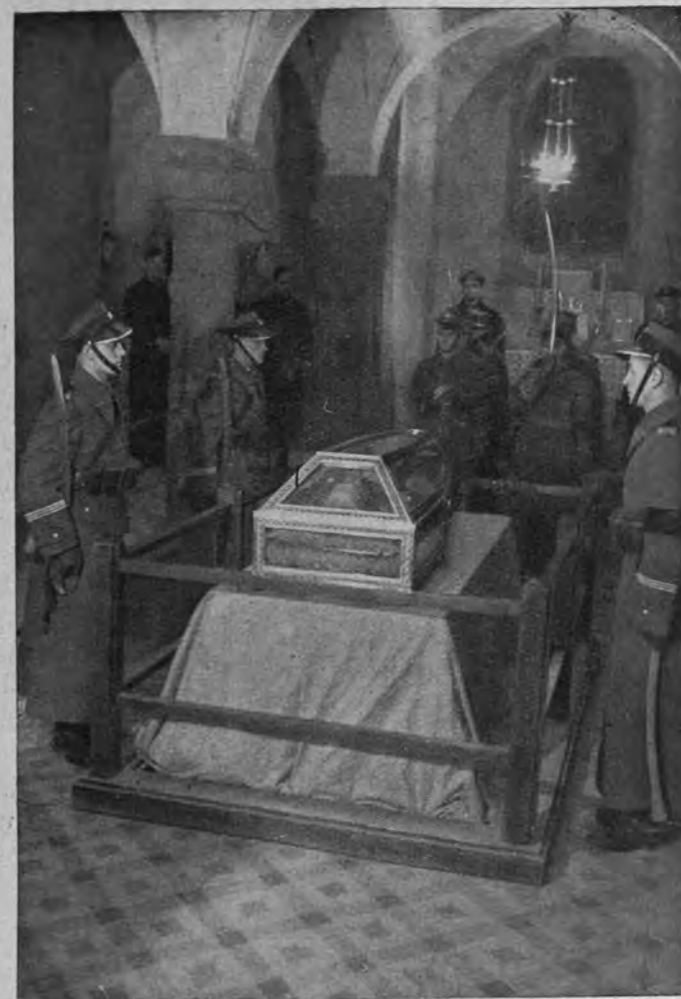
chwili gdy staje na czele polskiego ruchu rewolucyjnego.

Tytuły dalszych rozdziałów mówią lapidarnie o ich treści: „Organizator uciemionych, Wódz rewolucjonistów, Twórca wojennej kadry, Żołnierz bez ojczyzny, Żołnierz wobec Wodza, Zdobywca niepodległości, Budowniczy Państwa, Naczelny Wódz, Cromwell Polaków, Wychowawca i Ojciec narodu”. Dzięki uwzględnieniu wypadków rozgrywających się na szerokiej płaszczyźnie życia polskiego, większość z tych rozdziałów poza kapitalnem, treściwym i wyrazistym uwypukleniem roli i działalności Józefa Piłsudskiego stanowi jednocześnie cenny przyczynek do historii Polski walczącej o wolność, a później już, Polski Niepodległej, świadcząc zarazem jak silnie i nierozdzielnie ten okres naszej historii jest związany z osobą Wielkiego Marszałka, faktyczne jej twórcy i modyfikatora.

Żołnierzami bez ojczyzny nazwał Lipiński, legjonistów walczących o Polskę pod dowództwem swego ukochanego Komendanta, a rozdział poświęcony walkom I-ej Brygady charakteryzując Józefa Piłsudskiego jako dowódcę i jednocześnie umiającego patrzeć w odległą przyszłość polityka, jest zarazem zwięzłym streszczeniem historii bojów Brygady i prostym, bezpretensjonalnym szkicem sylwetki żołnierza Komendanta. Żołnierza bitnego, o niesłychanej brawurze, oddającego bez zastrzeżeń serce i życie swemu Brygadjerowi, żołnierza wytrzymalego, niezłomnego i zwycięskiego.

„Wie o tem żołnierz, wie, że Piłsudskiemu zawdzięcza swoje narodziny, swoje życie i swoją duszę. Za to odplaca Komendantowi I Brygady jeszcze głębszym, jeszcze bardziej namiętnym porzywem czci i miłości. Wszystkie wartości, które Wódz wytwarza w żołnierzu, potęgują się, gdy go nie tylko prowadzi do zwycięstw i na śmierć, ale gdy ponadto wypełnia duszę żołnierza wielką ideą, wielkim celem“ — tak trafnie charakteryzuje major Lipiński stosunek żołnierza wobec swego Wielkiego Wodza, obrazując jednocześnie tą wielką pracę wychowania i wytworzenia owego specyficznego „morale“ żołnierskiego, której dokonał Józef Piłsudski stwarzając „ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska“.

Gdy czytamy o tych wielu piętrzących się trudnościach politycznych, jakie pokonywać musiał na każdym kroku Józef Piłsudski, gdy w listopadzie 1918 roku, z niczego zaczął budować trwałe zręby państwowości polskiej, a jednocześnie uprzymiśmy sobie fakt, że przecież ten sam człowiek musiał tworzyć i organizować do natychmiastowej



Podchorążowie w dniu swego święta na warcie honorowej u trumny Wodza

walki armję polską — podziw nieklamany budzić musi w każdym wielki genjusz, żelazna moc charakteru i siła woli Józefa Piłsudskiego. Sam jeden w morderczym tempie niezwykłego i koniecznego pośpiechu tworzyć musiał wszystko, o wszystkim musiał sam decydować, za wszystko — brać odpowiedzialność na siebie.

Miarą tego forsownego i nadludzkiego wysiłku niech będzie ciekawe zestawienie cyfrowe stanu wojska polskiego, podawane przez mjr. Lipińskiego „Kiedy w pierwszych dniach po objęciu władzy nad wojskiem, w połowie listopada 1918 r. Piłsudski rozporządza 24 bataljonami piechoty, 3 szwadronami jazdy i 5 baterjami, to już po dwu niespełna miesiącach, w styczniu 1919 r. młode wojsko liczy 100 bataljonów piechoty, 70 szwadronów kawalerji i 80 baterji — razem ponad 100.000 ludzi pod bronią“.

Pisząc o genjuszu wodzowskim Marszałka, syntetyzuje Lipiński przebieg walk na froncie wschodnim i wyraźnie, zestawieniem faktów, uwypukla wielką zdolność przewidywania i konsekwen-

cje decyzji Naczelnego Wodza. Rok 1920 wraz z wielką koncepcją warszawską i niemeńską ostatecznego zwycięstwa przedstawiony jest jasno i dobitnie, w sposób nie dający się zakwestjonować rysuje się przed oczami czytelnika cała koncepcja wojny bolszewickiej. Na jej tle, w zestawieniu z wewnętrzną sytuacją państwową i międzynarodową, rysuje się mocnym konturem sylwetka zwycięskiego Wodza.

Książka Lipińskiego może stać się bogatym źródłem ciągle nowych refleksyj. Każdy jej rozdział ma swą wartość dzięki przejrzystemu ujęciu i głębokiej analizie sytuacji. Widać, że książkę tę pisał sumienny historyk, wczuty w temat nie tylko suchą świadomością bogactwa faktów, lecz sercem żołnierskiem, które biło pod szarym mundurem strzelca I-szej Brygady Piłsudskiego.

Dzięki książce majora Lipińskiego, zawsze dla nas żywy, cień Wielkiego Marszałka, staje przed nami bliżej i potęgą swą dyktuje wielkie nakazy dziedzictwa.

T. Ż.

*) Wacław Lipiński—Wielki Marszałek (1867—1935 r.). Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

O ŚWIADOMEM PRZYSTOSOWANIU SIĘ

Starym zwyczajem zostaliśmy wcieleni z końcem września b. r. w poczet specjalnej grupy społecznej zwanej wojskiem. O tej grupie, wieńczonej laurami od wieków, prawili nam nasi ojcowie, w dalszym ciągu naszego rozwoju szkoła, karmiąc bujną fantazją młodzieńczą bohaterскими czynami wodzów powstań narodowych. Z tych źródeł czerpaliśmy nasze wiadomości o wojsku i o jego długowiekowym rozwoju. Wiadomości te, jak sami stwierdziliśmy na sobie zbyt skąpo oświetlały nam całokształt życia żołnierskiego.

Nie znaleźliśmy istoty życia żołnierza, znaleźliśmy zaledwie fragmenty odbicia jego prac i czynów. Widzieliśmy w żołnierzu to, co nas szczególnie interesowało, a tem samem pozwalało naszej bujnej fantazji na wyjawienie jej jaźni. Źródło jego życia wewnętrznego leżało poza obrębem naszych wiadomości, a tem samem było dla nas zupełnie niejasne. I nie jeden z nas napewno odczuwał szczerą radość, gdy wdział na siebie strój żołnierski.

Przekonał się każdy z nas, że nie wystarczy być żołnierzem zewnątrz, że należy jeszcze wewnątrz siebie przebudować, przekonać i skierować istotę własnych zainteresowań i popędów we wskazanym kierunku. Nie jeden raz psychika nasza buntowała się przeciw zgóry nakazanym prawom, pomimo to, że stosowaliśmy się rozumowo przekonać siebie o istotnej potrzebie tych, lub innych zasad regulujących nasze życie żołnierskie, jak na zewnątrz, tak i na wewnątrz. I tu dopiero wykryliśmy żywiół, potęgę naszej struktury wewnętrznej, częściowo już skryształizowanej i potrzebę jej przystosowania do otaczających warunków.

Przyczyna nowego, tak przedczesnego rozczarowania, narzekania i przekleństw leżała właściwie w naszej nieznajomości struktury duchowej żołnierza, którego znaleźliśmy zaledwie z munduru. Wydawało się nam, że kto włoży mundur wojskowy jest już żołnierzem w dosłownym tego słowa znaczeniu.

ZAKON WYRZECZEŃ

Odróżnienie pozoru od istoty jest zasadniczym warunkiem prawdziwości oceny. O żołnierzu, jego doli i niedoli istnieje popularna opinia, kształtująca się na podstawie pozoru. O żołnierzu, szeroki, cywilny świat gwarzy zwykle w humoresce, ciesząc się jego szczerym uśmiechem, lub roztkliwia się w poezji, w której twarzą jak rozkaz rzeczywistość omotana jest tęczą. I w jednym i drugim przypadku zacierają się prawdziwe kontury.

Znajdujemy się obecnie w stadium przebudowy wewnętrznej, szybkość której, a wraz z tem i jej powodzenie, zależy wyłącznie od nas. Jesteśmy całkiem zbliżeni do artystów-wirtuozów, którzy pomimo to, że potrafią tak subtelnie odtworzyć najmniejsze drgnienie mięśni, nie przeżywając danej sytuacji, zdradzają swe wirtuozostwo przed baczny i czuły okiem widza. To samo dzieje się i z nami. Na każdym odcinku naszego życia baczny i czuły widz-wychowawca (komendant, dowódca komp. i plut.) dostrzega nasze braki duchowe.

Jesteśmy wirtuozami na każdym kroku; brak wzięcia się w każdą sytuację naraża nas na dość ostrą krytykę ze strony naszych przełożonych. Wiadomo, że w przeciągu kilkumiesięcznej pracy nabierzemy odpowiedniej wprawy i przebudujemy wewnątrz swą strukturę, lecz nim osiągniemy ów poziom, będziemy musieli przejść przez dość cierpką krytykę naszych wychowawców i kolegów. Krytyka wojskowa pomimo to, że naprowadza wprawdzie żołnierza na właściwą drogę, to jednak przeholowana daje rezultaty ujemne. Raz, źle ustosunkowuje do służby wojskowej, a po drugie, stwarza przepaść między przełożonymi, a podwładnymi.

Aby uniknąć tych tak przykrych następstw, musimy zdążyć do osiągnięcia poziomu żołnierza-artysty, gdzie każda bojowa sytuacja ma być przeżywana. Im szybciej będziemy zdążali do przebudowy naszej struktury duchowej, tem lepiej będziemy czuli się w wojsku.

Hasłem naszym powinna być świadoma praca woli nad jaknajszyszym przystosowaniem się do miejscowych warunków. Im szybciej to potrafimy zrealizować, to nie tylko dowiedziemy, że jesteśmy prawdziwymi inteligentami, ale jeszcze, że spełniamy chętnie i ze zrozumieniem swój obowiązek żołnierski względem Ojczyzny.

strzel. z cenz. M. Lobażewicz

Zambrów

powieściowa, a szczególnie dzieła o charakterze pamiętnikarskim, nacechowane bezpretensjonalnym realizmem.

Falszermem prawdy o żołnierzu jest również czas. Taka już ludzka natura, że prędzej przemilczy własne głębokie przeżycia i prędzej zapomni o trudach niż o powierzchownych błyskotkach humoru. Jest rzeczą wiadomą, że ludzie wojny i woj-ska najchętniej opowiadają uciężne przygody, a fakty o wysokim napięciu tragizmu przedstawiają zwykle w oświetleniu humorystycznym. Co dzieje się w głębi duszy, co jest tą resztą, która stanowi istotę — o tem mówi się zawsze z nadmierną oszczędnością słowa.

Uczniowie Szkół Podchorążych, najmłodsze pokolenie siły zbrojnej, już czwarty miesiąc szkolą się w rzemiośle wojennem. Nowe życie potoczyło się wartko i przekształciło pierwotny materiał — rekruta — wewnętrznym i zewnętrznym.

Zewnątrznie, cywil w przed trzech miesięcy zamienił się w żołnierza, który w zespole swych towarzyszy mógł już oficjalnie wystąpić na święcie 11 listopada. Podchorążówka zyskała opinię pięknie prezentującego się wojska. Zwroty i chwytły bronią weszły w krew, plecy wyprostowały się, mowa stała się energiczna i zwięzła. Humor nieodłączny kompan żołnierza, towarzyszył stale pierwszym wysiłkom. Wytworzyło się ogólne nastawienie rywalizacji humoru. Każdy swoje codzienne, drobne porażki czy triumfy, przyobleka w przepisowy mundur żołnierskiego „kawału“. Lecz są to przejawy zewnętrzne. Gdzie jest istota wzywania się w nowe formy?

Fundament mocny, ukuty z materiału ceną równego złotu, nawarstwia się z dnia na dzień w młodej psychice. Młody żołnierz własną wolą wykuwa swoje prawo obywatelsko-żołnierskie. Wojsko — to zakon wyrzeczeń. Od spraw drobnych dojść można do wielkich zbiorowych porywów. Od niedopitego śniadania, przerwane gwizdkiem, od niedopalonego papierosa, od łóżka zaścielanego i rozrzuconego kilka razy na dzień, od zgubionego gwoździa z podeszwy buta, od niezapiętego guzika rozpoczyna się — wążką początkowo

ścieżyną — droga, wiodąca do osiągnięcia prawa rozkazywania.

Niezapięty guzik, ceremonia zaszywania kieszeni lub wymiatanie na czworakach z pod łóżka — wszystko to niewątpliwie nadaje się do groteski. Lecz medal ma dwie strony. W tym wypadku po drugiej jest to, co się zwykle przemilcza. W każdej podobnej groteskowej przygodzie żołnierz musiał wyrzec się swego spokoju, wolnego czasu, musiał mocno zaciskać zęby, gdy jego cywilna ambicja wystawiana była na te codzienne próby. I w każdej podobnej sytuacji żołnierz odnosi małe zwycięstwo nad sobą. Tu pamiętać należy o starej prawdzie — niema zwycięstwa bez walki.

Wojsko to zakon wyrzeczeń, w którym obowiązuje „sui generis“ asceza.

Nie można sobie wyobrazić początkującego żołnierza, któryby nie przeżywał wahań między dwiema postawami względem wojska i służby wojskowej. Pierwsza — to zwykła ludzka reakcja fizyczna i psychiczna na trud, niewygody i drobne przykrości, to bunt samoluba i piecucha, którego częśćka pokutuje w każdym re-

krucie z cenzusem — druga, z przeciwnego krańca — to wielkoduszne, spokojne zrozumienie, że te codzienne drobne trudy nie są celem, lecz jedynie środkiem do dzwignięcia się na wyższy szczebel w wyszkoleniu ducha. Z takich pojedynczych drobnych wyrzeczeń, powtórzonych przez całe zastępy, zbiera się bezcenne ziarno do ziarnka i urasta z nich plon zbiorowego wysiłku wewnętrznego. Nie zmienił się cywil w żołnierza, gdy go w pierwszym dniu przebrano w mundur. Trzeba było czasu, żeby mundur ten przylgnął do karku i nagiął go do nowych warunków.

W tem naginaniu tkwi istota wewnętrznego przeżycia. Niekażdy łatwo dojdzie do zrozumienia, że bezkrytyczne posłuszeństwo względem wojskowego rozkazu; choćby on padł z ust prostych, i krzykliwych, leży jako węgielny karień u podstaw naszej armji, która jest gwarancją Polski mo-carstwowej.

Jeśli w ciągu pierwszego okresu swej służby rekrut z cenzusem osiągnął tę zrównoważoną ma-



Podchorążowie — Nieznanemu Żołnierzowi w dniu 29.XI 35 r.

drość wewnętrzną, jeśli potrafił stać się „myślącym automatem“ — można śmiało powiedzieć, że czas nie został zmarnowany.

W języku wojskowym istnieje znane powiedzenie, stosowane do rekruta: „wypędzić cywila“. Służą do tego wypróbowane wojskowe metody. To

PRZEMIANY USTROJOWE I RZECZYWISTOŚĆ POLSKA

(Artykuł dyskusyjny)

Złożyło się na to wiele przyczyn, które wprost zmuszają do powiedzenia czegoś o naszej dzisiejszej Polsce, o rzeczywistości, o tem co myślą ci młodzi jeszcze ludzie, którzy za lat kilka muszą stać się twórcy nową epoki, kanwą życia politycznego i ekonomicznego państwa.

Zabieram głos, — i nie bez poważnych powodów daję podtytuł „artykuł dyskusyjny“.

Rozkrzyczane szpalty gazet głoszą „urbi et orbi“ dziwne napozór słowo „Przemiany! Przemiany!!!“ Gdziekolwiek zwrócimy oczy wszędzie to samo — reorganizacje, burzenie starych form, walka o nowy, lepszy ustrój — o nadanie innego oblicza życiu. Potężne siły ożywiły geniusza całej ludzkości; gdzieś od wnętrza, od głębi idzie ze straszliwą siłą groźna i brzemienna w skutki chęć zdobycia szczęścia, idzie Prometeusz walczący o Dobro.

Walka o lepszy ustrój świata na wszystkich frontach.

Z zachodu i południa płyną prądy nacjonalnych, fantastycznie brzmiących programów — hasła potęgi militarnej w rytmie „Giovinezzy“ czy „Deutschlandlied“.

Rozpłomieniony krzyż wspólnoty aryjskiej, pęk różeg i topór liktorski — symbolistyka silnej władzy i potężnego ognia narodowych instynktów o Pan-germanję czy Panitalję.

Instynkt brutalnej pięści Thora, myśl o panowaniu nad światem, porywy ducha starożytnych Cesarów czy nowożytnych „Fryderyków“.

„Odi profanum; vulgus et arceo“...

Niech żyje jeden potężny naród — nasz naród!
Deutschland über alles!!

Salve populo di Roma!!

Gdzieś z dalekiego wschodu idzie tętno pracy czerwonego rządu. III Międzynarodówka śle nam swe pozdrowienia — rzuca rękawicę kosmopolitycznej potęgi świata — skonfederowanych stanów Europy.

lapidarne powiedzenie zamyka w kapitalnym skrócie to, o czem była powyżej mowa, zwłaszcza jeśli ci, którzy propagują to hasło, chcą sens jego właściwie ujmować.

Dęblin

Strz. z cenz. J. Kierst

Niema narodów! Jest tylko jeden człowiek, jeden i ten sam duch!

Doktryny kapitalistycznych państw upadły!
Zaistnieje państwo robotnicze, państwo sytych brzuchów bez nędzy i cierpienia.

A jednak...

Wszystko pozostało. Status quo ante.

Odwrócono kolejność, istota pozostała ta sama.

Bo był już i nacjonalizm, i totalizm i kosmopolityzm, w innej formie, lecz był i miał swój zenit — swój zachód.

I obecny régime sowiecki jest tylko odwróceniem régime'u caratu z tą małą zmianą, że to co było dawniej na dole jest obecnie w górze — a dawna „góra“ rozlała się po świecie jako arystokracja rosyjska.

A nasza obecna rzeczywistość?...

Jesteśmy w uchwycie między kilkoma prądami o różnych barwach i charakterach.

„Quo vadis Polonia? Przedmurze kultury zachodniej czy... awangarda wschodu?“

(Patrz L.K.C. Nr. z dn. 8.XII 1935).

Nie tworzymy zlepkę różnych doktryn nie pójdziemy drogą pośrednią, lecz musimy twardo stanąć na gruncie naszej rzeczywistości, niczem owa Hestja Wyspiańskiego „nie zwolnić ni piędzi ziemi“.

Nasz ustrój musi być oparty na naszych rodzimych zasobach kultury duchowej, na naszej mentalności, na naszym dążeniu do związania jednostki z grupą połączenia uniwersalności z indywidualnymi poczynaniami.

Państwo jako nadrzędny czynnik kieruje życiem politycznym, kulturalnym i gospodarczym jest architektem, badającym każdą cegłę, każdy centymetr wymierza pionem, jest muzykiem, który z malowniczych tonów pojedynczych tworzy arcydzieło. Rząd organizuje wszystkie aktywne siły społeczeństwa, daje warunki rozwoju, koordynuje wysiłki jednostek, grupuje i konsoliduje wszelkie związki zawodowe.



Nowawzniesiony pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego w Tarnopolu

Związanie rządu ze społeczeństwem jest rzeczą nie podlegającą dyskusji; praca rządu jest wynikiem porozumienia ze społeczeństwem. Hasłem naczelnym jest odpowiedzialność i rządu i społeczeństwa, zaś kwestja zaufania wzrasta proporcjonalnie do tych obowiązków, które obie strony ponoszą.

Podstawą reorganizacji ustroju to troska o gospodarczy dobrobyt o ustalenie stałego stosunku między pracą a wynagrodzeniem w każdej dziedzinie, w handlu, przemyśle, pracy naukowej.

ŚWIĘTO PODCHORAŻEGO.

Nawiązując do tradycji z lat poprzednich — Redakcja „Podchorążego“, za zgodą Pana Szefa Wojskowego Instytutu Naukowo — Oświatowego, w roku bieżącym zainicjowała zorganizowanie „Święta Podchorążego“. Program pierwotny przewidywał urządzenie w ramach uroczystości warszawskich „Wieczoru Podchorążych“ — jaki odbył się w roku ubiegłym, a który cieszył się tak ogromnym powodzeniem. Naskutek jednak żaloby narodowej związanej ze zgonem Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego — Komitet Organizacyjny zdecydował się „Wieczoru Podchorążych“ nie urządzać — natomiast zorganizować wyjazd delegatów wszystkich szkół podchorążych zawod. i rez. oraz dywizyjnych kursów podchorążych do Krakowa — celem odania hołdu ceniom Komendanta oraz na Sowińce — dla wzięcia udziału w sypaniu Kopca Spowodu jednak zbyt wielkich kosztów związanych z wyjazdem delegatów do Krakowa — Pan Minister Spraw Wojskowych zarządził wystawienie w dn. 29.XI. b. r. posterunków honorowych przy zwłokach Marszałka J. Piłsudskiego w Krypcie św. Leonarda w katedrze na Wawelu — składających się z uczniów szkół podchorążych: Piechoty w Ostrowi Maz., Kawalerji w Gru-

Stare to rzeczy, a jednak zawsze aktualne. Podniesienie gospodarki rolnej, handlu, przemysłu, związków, kooperatyw — oto elementy gospodarowania — które wyplenią żółte strzechy — paszporty chłopskiej doli.

We wszystkich tych wypadkach rząd kierownikiem dynamicznej siły społeczeństwa jest regulatorem życia codziennego.

Zniknie również obawa przed t. zw. etatyzmem z chwilą gdy kapitał prywatny społeczeństwa zda egzamin dojrzałości ekonomicznej, streszczający się w istocie samego powstania tego rodzimego kapitału.

Spółczeństwo więc i rząd stają twarzą w twarz, ramię przy ramieniu i tworzą tym związkiem podstawowy filar nowego ustroju nowego bytu państwowego.

Wspólne zrozumienie przetopi się w tyglu pracy codziennej, na wysokowartościowy kruszec, któremu na imię Dobro.

Drugim filarem to oświata i kultura dla wszystkich — kultura na codzień!

Niechaj wreszcie zajaśnieją pogodą i radością szklane domy Żeromskiego, niechaj ujawniają się nasze siły i pragnienia o „Polsce, która idzie“, która żyje i tworzy.

strzel. z cenz. K. Duszyński

K.P.R. Skierniewice



Gen. Gluchowski | Wiceminister Spraw Wojsk. przed frontem podchorążych]

NA RYNKU STAREGO MIASTA

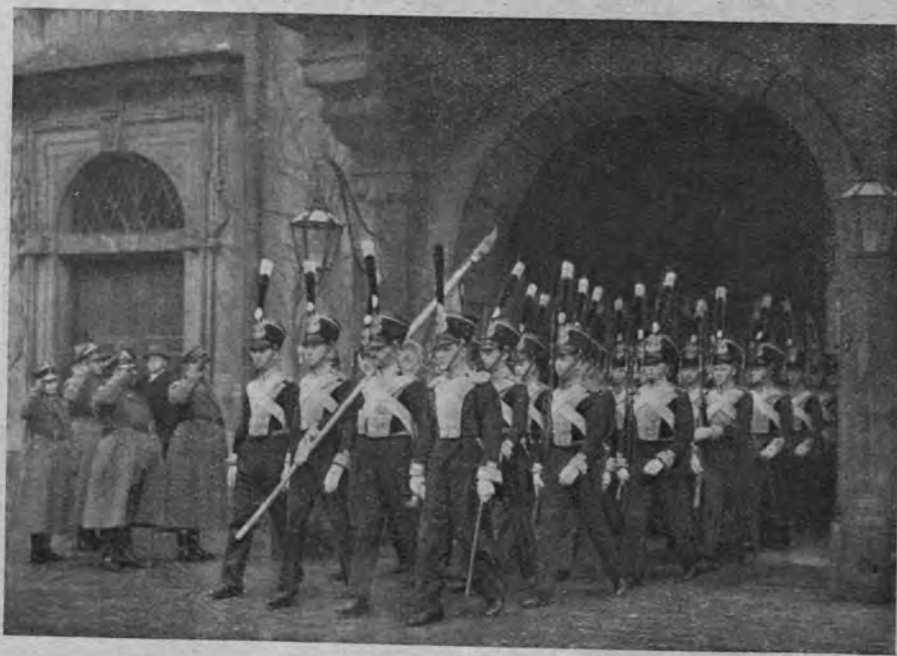
Już wczesnym rankiem dn. 29.XI w kierunku Starego Miasta maszerują w zwartym ordynku oddziały i kompanie poszczególnych szkół. Na tle staromiejskiego folkloru odcina barwnie oddział szkoły Podchorążych Saperów w mundurach historycznych z chorągwią, dalej w kolejnych rzutach stoją: Bataljon Szkoły Podchorążych Sanitarnych z chorągwią, kompania Szkoły Podchorążych Łączności z Zegrza, pluton Szkoły Podchorążych Rez. Saperów z Modlina w pełnym oporządzeniu. Oddzielną kompanię tworzą delegaci wszystkich szkół podchorążych zawod. i rez. oraz dywizyjnych kursów podchorążych rez. Zgromadzone oddziały oczekują na przybycie z Dworca Wileńskiego plutonu Szkoły Podchorążych Piechoty w historycznych mundurach — z chorągwią. Tymczasem dowódca całości — Komendant Szkoły Podchorążych Saperów, ppłk. Arczyński — dokonywuje przeglądu zgromadzonych na Rynku oddziałów.

O godz. 10.40 — poprzedzany przez reprezentacyjną orkiestrę 36 p. p. L. A., przy dźwiękach Warszawianki, na Rynek Starego Miasta wkracza pluton Szkoły Podchorążych Piechoty w historycznych mundurach piechoty z r. 1830. Pluton poprzedza sekcja trębaczy i doboszy. Padają słowa komendy — oddziały prezentują broń. W niedługim czasie, na Rynek Starego Miasta przybywa I Wiceminister Spraw Wojskowych gen. Głuchowski w otoczeniu zastępcy dowódcy O. K. i płk. dypl. Parafińskiego i wyższych oficerów. Przy dźwiękach marsza generalnego Pan I Wiceminister przechodzi przed frontem zgromadzonych oddziałów. Po dokonaniu przeglądu Pan I Wiceminister odjeżdża. Oddziały przegrupowują się celem odmaszerowania na Plac Zamkowy i na dziedziniec Zamku Królewskiego — dla złożenia hołdu Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej.

NA ZAMKU KRÓLEWSKIM

Przy dźwiękach kilku orkiestr oddziały przechodzą na Plac Zamkowy ustawiając się frontem do Zamku. Na dziedziniec zamkowy wkraczają plutony szkół podchorążych piechoty i inżynierji oraz kompania delegatów wszystkich szkół podchor. zawod. i rez.

Chwila oczekiwania. Do zgromadzonych schodzi Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ign. Mościcki w otoczeniu Do-



Na dziedzińcu zamkowym



Pluton S. P. P. w pięknych, historycznych mundurach

mu Wojskowego i Cywilnego z dyrektorem Kancelarii Cywilnej dr. Świeżawskim i szefem Gabinetu Wojskowego płk. Szalym. Orkiestra gra hymn narodowy, chylą się chorągwie. Trzykrotny okrzyk serc młodych: „Niech żyje!” potężnym echem odbija się o czworobok ścian dziedzińca zamku królewskiego, Pan Prezydent przyjmuje raport od dowódcy całości ppłk. Arczyńskiego, poczem przechodzi przed frontem oddziałów — witając się jednocześnie z zebranymi wyższymi oficerami — wśród których widzimy komendanta Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Maz. płk. Żongołłowicza, z-cę Szefa Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego pułk. dypl. W. L. Koca i komendanta m. Warszawy płk. Machowicza.

Jednocześnie zgromadzone na Placu Zamkowym oddziały, przy dźwiękach orkiestr, wznoszą okrzyki na cześć Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych.

Po odebraniu hołdu Pan Prezydent udał się do swoich apartamentów. Dziedziniec Zamku Królewskiego pustoszeje — zebrane oddziały udają się do Grobu Nieznanego Żołnierza.

PRZY GROBIE NIEZANANEGO ŻOŁNIERZA

O godz. 11.30 — wszystkie oddziały i kompanie szkół podchorążych, biorące udział w „Święcie Podchorążego” — znalazły się na Placu Józefa Piłsudskiego — ustawiając się frontem do Grobu Nieznanego Żołnierza. Pod pomnikiem Księcia Józefa Poniatowskiego zbiera się Komitet Organizacyjny, wyżsi oficerowie oraz delegaci poszczególnych szkół podchorążych z wieńcem. Piękny wieńiec z żywych kwiatów, ozdobiony barwami wszystkich szkół podchorążych z napisem „Nieznanemu Żołnierzowi — Podchorążowie” — niosą podchorążowie zawodowi, szeregowi z cenzusem oraz podchorążowie rezerwy z Koła Podchor. Rez. przy Związku Oficerów Rezerwy.

W chwili składania wieńca „orkiestra gra hymn narodowy — poczem następuje minuta ciszy dla oddania hołdu poległym w bojach bohaterom. Skolei, obecni przy składaniu wieńca wpisują się do księgi pamiątkowej ustawionej tuż obok Grobu. Po zakończeniu uroczystości przy Grobie Nieznanego Żołnierza — oddziały przegrupowują



Pluton S. P. I. na rynku Starego Miasta

się celem odmaszerowania do Belwederu — dla oddania hołdu pamięci Wodza Narodu, Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Bezpośrednio za plutonami w historycznych mundurach — delegacja podchorążych zawod. i rez. niesie wspaniałe wieńce laurowe z wstęgami o barwach krzyża „Virtut Militari”.

W BELWEDERZE

Poraz pierwszy w dniu swego Święta — składają hołd podchorążowie w opustoszałym pałacu belwederskim — pamięci Marszałka Piłsudskiego.

Tymczasem od placu Trzech Krzyży, w rytm warkotu werbli, zdążają Al. Ujazdowskimi w kierunku Belwederu oddziały podchorążych — by za chwilę stanąć na dziedzińcu belwederskim. Następuje przegrupowanie oddziałów. Pada komenda: „Prezentuj broń!” Delegaci wśród podniosłej ciszy składają na stopniach pałacu wieńce z napisem: „Pamięci Pierwszego Marszałka Polski J. Piłsudskiego — Podchorążowie” Aktowi złożenia hołdu podchorążych — pamięci Wodza Narodu — przygląda się tłumnie zebrana publiczność. Wzruszającym był moment, gdy działwa przedszkola w pałacu belwederskim — cisnęła się, aby wszystkim móc widzieć, aby swoją obecnością również móc wziąć udział w uroczystości.

Po oddaniu hołdu — pluton Szkoły Podchorążych Piechoty z Ostrowi Maz. w historycznych mundurach zaciąga wartę w Belwederze. Przy dźwiękach sygnałów trębaczy i akompanjamentie werbli — podchorążowie ustawiają chorągiew — poczem pierwsza zmiana na rozkaz Komendanta Szk. Pech. Piech. płk. Żongołłowicza odmaszerowuje dla zaciągnięcia posterunków. Wszyscy zebrani podkreślają z niemałym podziwem sprawnie wykonane zaciągnięcie warty.

GENERALNY INSPEKTOR SIŁ ZBROJNYCH W BELWEDERZE

O godz. 14 do Belwederu przybył Generalny Inspektor Sił Zbrojnych gen. E. Rydz Śmigły. Pluton Szkoły Podchorążych Piechoty sprawujący wartę wystąpił pod broń, poczem gen. E. Rydz

Śmigły, po odebraniu raportu od dowódcy warty — przeszedł przed frontem oddziału.

W ŁAZIENKACH

Zakończeniem uroczystości „Święta Podchorążego” w Warszawie był apel poległych i alarm warty, jakie odbyły się o zmroku w Łazienkach, przed koszarami szkoły podchorążych z 1830 r., skąd przed 105 laty padło hasło walki orężnej, której bohaterami byli podchorążowie z porucznikiem Piotrem Wysockim na czele.

O godz. 18-ej przed białym frontonem gmachu dawnej podchorążówki przybranej flagami narodowymi, zebrały się oddziały biorące udział w „Święcie Podchorążego”, obszerny dziedziniec, mimo niepogody, wypełniony jest szczerze młodzieżą szkolną oraz liczną publicznością. Tymczasem pluton Szkoły Podchorążych Piechoty składa broń na wartowni.

Po ustawieniu się oddziałów płk. Żongołłowicz poleca przeprowadzenie apelu poległych. Kpt. Proń ze Szkoły Podchor. Piechoty czyta listę poległych podchorążych w powstaniu listopadowym. W podniosłej ciszy, przy poszumie gąsienic poruszanych przez wiatr, padają nazwiska Tych, którzy pierwsi rzucili hasło walki orężnej, w r. 1830. Zgodny chór Ich spadkobierców, odpowiadający przy akompanjamentie warkotu werbli na rzucane nazwiska: „Polegli na polu chwały” — jest im zapłatą i stwierdzeniem że pamięć o Nich żyje i teraz w sercach młodego pokolenia.

Po zakończeniu apelu poległych, płk. Żongołłowicz nawiązując do tradycji czynu podchorążych 1830 r. wygłosił następujące przemówienie:

„Podchorążowie, wy nie musicie walczyć o wolność. Ojczyzna jest wolną. Jednak z bronią w ręku musicie strzec tej spuścizny, którą zostawił wam ukochany nasz Wódz Marszałek Józef Piłsudski.

Sto pięć lat temu w gmachu tym, w noc listopadową, podchorążowie chwycili za broń, aby czynem orężnym wypędzić najeźdźcę. Wzywam was teraz hasłem porucznika Piotra Wysockiego: Do broni!”

Na rzucone hasło — podchorążowie biegną na wartownię — chwytając za broń. W tej chwili zostaje zapalone olbrzymie ognisko — mające być symbolicznym hasłem rozpoczęcia powstania. Orkiestra gra „Warszawiankę”, której



Przed progiem Belwederu

dźwięki szerokim echem rozplywają się wśród drzew parku Łazienkowskiego.

W mroku alei parkowej widać odchodzące oddziały. To pluton Szkoły Podchorążych Piechoty odmaszerowuje, odprowadzany przez liczną publiczność, na wartownię belwederską. Za nim Kompanja delegatów szkół pchor., Szkoła Podchorążych Saperów zaw. i rez., Szkoła Pchor. Łącz. oraz Szkoła Pchor. Sanitarnych.

Uroczystość skończona.

Pchr. Henryk Janczewski

Z ŻYCIA SZKÓŁ

DZIEWIĘDZIESIĄT DWA DNI SŁUŻBY...

Niebardzo pewnie wiecie, gdzie to leży miasto Słonim. Tak, tak. W Warszawie też nawet byli tacy, co nie wiedzieli. Słonim, Słonim? Acha, to jest pewnie nad Bzurą, tam, gdzie „stoi” pułk strzelców podhalańskich?

— Tak jest — odparłem. Nad Bzdurą. 42-gi pułk strzelców bengalskich. Ten z „Bengali”. Ładny film nie?

...Wiadomo, że kobieta, to istota pusta.

Puchu marny, jak mówi poeta. To przecież znane...

Istotnie, tak jest. Prawdę mówi wieszcz.

— Rzuceni na kresy, gdzieś nad Szczarę, na „wschodnie krańce Rzeczypospolitej”, powiedziałbym, odbywamy tutaj swoją twardą służbę.

Po przysiędze, o której poniżej będzie mowa, wyszliśmy oglądać miasto i miejscowy folklor. Cóż?... Nie każde miasto musi być odrazu Paryżem. Słonim, jak Słonim. Jak pies usiadł koło naszych koszar, to ogonem macha akurat nad Baranowiczami. Ale jest tu wcale przyjemnie. Tanio i zdrowo. Jak w akademickiej, „bratniej” kuchni. Poza tym przyjemnie, powtarzam. Według naszego skromnego zdania Pan Bóg skasował raj, nie mogąc wytrzymać konkurencji ze Słonimem.

I nie jest to bynajmniej „Miasto mojej matki”, ani siostry, ani nawet zwykłej znajomej (mam tu tylko znajomego krawca, u którego już 3 razy chciałem zamówić mundur), ale to miłe miasto b. lubię, nawet nie wiem dlaczego.

PRZYSIĘGA.

24 listopada złożyliśmy uroczystą przysięgę żołnierską. Wiatr chłastał nam w twarze tumanami mokrego śniegu, ale my staliśmy cisi i dostojni...

Twarde: „prezentuj broń!” — Uroczysta rota przysięgi: — Przysięgam...

Potem: krótkich, żołnierskich „słów kilkoro” p. ppłk. dypl. T. Trapszy trafiło nam do naszych, już nie rekruckich, ale żołnierskich serc. Potem obiad, przemówienia p. starosty, delegatów innych pułków, i krótkie podziękowanie „za wszystko” w imieniu kolegów przez niżej podpisanego.

Trochę wódki.

Ogólne radości.

Przepustki do miasta, o którym powyżej.

POŻEGNANIE REKRUTA.

Wprawdzie nie byłem na naszej, naprawdę dobrej rewji na zakończenie okresu rekruckiego wystawionej, bo akurat siedziałem... w Warszawie, ale cóż to mi szkodzi napisać z niej sprawozdanie?... Przecież tak się robi i to jest nawet w dobrym dziennikarskim tonie.

Czego tam nie było! P. por. Wojtowicz włożył w nią wiele rzetelnej pracy i reżyserskich zdolności. Siedział „ka-

mieniem” wieczorami na próbach, aż mu rodzina miała za złe, że się spóźnia na kolację (dziennikarze wszystko wiedzą!)

A nasz „Wódz”, p. kpt. Bach, zatroskanym okiem spoglądał na to wszystko, „zwalniał z zajęć”, chodził sam na próby, na których cały „artystyczny I-szy pluton” p. por. Bylińskiego przebywał więcej w sali naszego kina, niż na „wyszkoleniu bojowym”.

Znam jednego takiego, jest nawet w mojej drużynie, ajakże, nazywa się, zdaje się... (nie, nie powiem, nomina sunt odiosa), co miał do powiedzenia na scenie 3 słowa, a chodził „uczyć się” na próby 3 tygodnie.

Akurat po tygodniu na jedno słowo.

I akurat na 29 listopada musiał jechać do Warszawy...

Wyraźny i zdecydowany pech spotyka, tego nieszczęśliwego człowieka.

Ale rewja wypadła wspaniale! Ludziska i kobiety cisnęły się drzwiami i oknami, ogólny sukces. Publiczność rojami odchodziła od kas bez biletów, zwarte kolumny stały pod ścianami.

Na wyróżnienie zasłużyli: „bohaterski tenor” — kol. Malec, „król szmoncesu” kol. Furmański, „zatrzacone górale” Jasio Kokoszyński i M. Jenner, oraz jeszcze ci, którzy oprócz nich postavili mi kolację.

Oprócz nich „wyróżniony” został sufler za złe podpowiadanie („ofiara jedna, analfabeta niedokończony!”)

PRZEDŚWIĄTECZNE REFLEKSJE.

Futura! białego śniegu, przesycony refleksiem niebieskiego nieba. Podchorążówka na bojówce. Okoliczne wzgórza są świadkami licznych „kraks” i upadków. Na przerwie ten i ów wyjmuje kawał razowego chleba. Bo apetyty mamy. (P. kpt. na pogadance: „jak tam, chłopcy, z jedzeniem?” „Dobrze, p. kapitanie!”) Ale twardy żywot tutaj prowadzimy.

Trudno. Nie zawsze można żyć kwiatami i cukierkami od Fruzińskiego.

— Idziemy czwórkami do koszar. Miecio J., ten który zostawił rozplakaną kobietę aż w Jasle, wzdycha: już nie — siat, ani — ści, tylko — naście“. Co ma oznaczać, że ani 50, ani 40, tylko już 11 dni do urlopu! Idący koło niego Tadek też błędnym wzrokiem po horyzontach i myśli dla odmiany o jakimś Brześciu.



Na urlopie.

fol. Sobański



Ozdoba choinki

fol. Malcherek

Tenjours, cherchez la femmel...

Ten i ów obiecuje sobie po przyjeździe do domu zrobić alarm, zebrać rodzinę w dwuszeregu, odliczyć, podać stan do wyżywienia, sprawdzić kurze na szafkach i kazać złożyć „kostki” na noc...

Zobaczymy!...

Tymczasem cieszymy się na konto urlopu.

I jako, że jesteśmy dżentelmenami i dobrymi kolegami — ślemy z naszej „Syberji” Wszystkim Podchorążówkom życzenie.

Wesołych Świąt!

K.P.K.P. Słonim

strz. z cenz. T. Z. Strzykowski

BRZEŚĆ MÓWI

„Jeszcze tydzień do przysięgi” — westchnął z ulgą Wicek. Był to jednak tydzień jakich mało. Codziennie do południa normalne wyszkolenie bojowe, w południe przemarsz przy dźwiękach orkiestry, popołudniu musztra: „do! przysięgi” i „po! przysiędze”, a po musztrze próby chóru i „pogrzeb rekruta”. Ciężki to był tydzień i przeżyć go trzeba było po żołniersku, by stanąć do jednej z najważniejszych chwil w życiu żołnierza — do przysięgi.

W przeddzień przysięgi odbyło się pogrzebanie rekruta, które wypadło u nas bardzo dobrze. Każda scena otwierała niedawne przeżycia nacechowane komizmem. Na scenie znaleźli się nasi dowódcy z dowódcą kursu na czele, który udał się nam najlepiej. Bardzo pocieszną była mowa pożegnalna „Froncka Szufładki nad trulą naszego najsłabszego kolegi Pestki Izydora, który dlatego, że nie znał choroby św. Wita ani padaczki odszedł krokiem ewangelicznym pod kątem 390° do św. Pietra.

Na drugi dzień, t. j. w niedzielę, dnia 24.XI 1934 roku odbyła się nasza przysięga. Natura cała (przynajmniej koło Brześcia) wystrzeliła się w białą szatę. Pod nogami strzelców z cenzusem chrząścił śnieg. Śnieg wciąż padał. Z białymi płatkami śniegu padły słowa przysięgi na wierność Polsce. Oby słowa te pozostały zawsze tak czyste, jak te płatki śniegu, z którymi równocześnie padły.

Po przysiędze odbył się wspólny obiad a po nim pierwsze wyjście do miasta. Do miasta wszyscy mają iść! — brzmiał rozkaz dowódcy kursu. Wiara nie dała sobie tego

powtarzać. Ulice Brześcia zaroily się od strzelców z cenzusem. Miłe doprawdy było to pierwsze wyjście.

Co gorętsi koledzy na drugi dzień nawzajem dzielili się wrażeniami z odbytych przechadzek. Wicek też już co chwila wzdychał miłośnie.

D. K. P. R. Brześć.

Strzel. z cenz. St. Kogut.

PRZYSIĘGA DWIZYJNEGO KURSU W KATOWICACH

Skończył się pierwszy okres szkolenia, szkolenia rekruckiego. Dnia 30 listopada wypędziliśmy z siebie resztki cywila, stając się prawdziwymi już żołnierzami, świadomymi swych obowiązków. Świadomość tych obowiązków, chęć dobrego ich wykonywania — wyraziliśmy głośno całemu światu słowami przysięgi.

„DLA CIEBIE POLSKO I DLA TWEJ CHWAŁY”.....

Przysięgę odbierali duchowni poszczególnych wyznań, na wierność Polsce, prawu, konstytucji...

A potem defilada na ulicy Raciborskiej przed sztandarem pułkowym. Defiladę odebrał pan ppłk. dypl. Sosiałuk. Wreszcie bankiet, rzecz dla nas o tyle przyjemna, że, że... dla jednych dawno nie widziana, dla drugich dlatego, że winogrona... że miód... że ciastka dobre były, a dla wszystkich dlatego, że nastrój był specjalny. I przelotni bliżsi nam się wydają, bliżsi tem, że tak jak my są żołnierzami, stopniem jedynie wyżsi.

A pan ppłkownik rzuca spojrzenie pełne blasku z pod gęstych brwi, a iskry ócz jego mówią: — żołnierze wy moi...

strz. z cenz. K. Michalski

POGRZEB REKRUTA

Dnia 29 listopada odbył się staraniem komitetu redakcyjnego pogrzeb rekruta na kursie dwizyjnym w Katowicach. Imprezę zaszczytlił swą obecnością: ppłk. dypl. Sosiałuk, p. mjr. Synoń, p. kpt. Nowożeniuk, d-ca kursu, pp. oficerowie wykładowcy, kadra instruktorska i goście. Na całość złożyła się część widowiskowa i rewja w świetlicy. W części widowiskowej brał udział cały kurs przedstawiając charakterystyczne grupy rekrutów. Szli więc w pochodzie — poprzędzonym przez herolda — „urlopnicy”, „wojsko abisyńskie”, „markieranci”, „repeciarze”, „wojsko niemrawe” (dosłownie nazywali się nieco inaczej), wreszcie pochód zamykała kukła ze stomy zamazanego rekruta, otoczona dwoma szeregami płaczków z pochodniami.

Poszczególne grupy, korzystając z rekwiizytów teatralnych wcale udatnie odegrały swoje role naszpikowane aluzjami do naszych rekruckich „wyczynów”. Urlopnicy więc wiedli swoje „maleństwa” wypożyczone od panów podoficerów, „wojsko abisyńskie” ubrane w nocne koszule, przepasanie owijaczami, bagnety bez pochwy i t. p. wyło pod dowództwem strz. z cenz. Kabaka (ponoć krewny negusa) „Markieranci” z życiem odegrali role trupów lub pół-trupków, a repeciarze produkowali swoje zdolności głaszcząc się po wypchanych brzuskach, wreszcie „wojsko niemrawe” — szło „na przedsięboki, krokiem na baczność”.

Rekrut wśród powszechnego płaczu spłonął na stosie a wraz z nim nasze pocieszne rekruckie przywary. Już jako żołnierze cieszyliśmy się z kupletów strz. z cenz. Janczura i innych, Całą „afera” dyrygował strz. z cenz. Kazimierz Michalski przy pomocy Ł. Leśniaka Czajowskiego i Mildnear.

„ŚWIĘTO PODCHORAŻYCH” W CZĘSTOCHOWIE

M był drobny, rzęsiasty deszcz, gdy w szary, jesienny wieczór ruszył od koszar — zmierzając na plac ćwiczeń — orszak „pogrzebowy”... To brać podchorążacka odprowadzała na wieczny spoczynek symbolicznego trupa, umarłego już rekruta z cenzusem.

Wierni trzechletniej tradycji naszego Kursu, czyniliśmy to z wielką ceremonią, oddając należne jego pamięci honory...

Pochłonął go wreszcie ogień stosowy, a z prochów jego wśród dymu narodził się nowy człowiek, prawdziwy żołnierz, świadomy swej roli społecznej — żołnierz-podchorąży...

A działo się to w dniu 29 listopada b. r., w dniu tak pamiętnym szczególnie dla nas podchorążaków, którzy przejmujemy wraz z tradycją i ducha patriotyzmu, jaki przyświecał dziełu naszych przodków z roku 1830. Ku ich cieniem zwróciła się nasza myśl, gdy w zwartym szyku maszerowaliśmy ulicami miasta w czasie uroczystego capstrzyku, który poprzedził uroczystą rocznicę ich zbrojnego czynu, obchodzoną przez nas także, jako „Dzień Podchorążego”. Zespoleni duchem z tymi, którzy pomimo minionego czasu, żyją w sercu każdego Polaka — przysięgaliśmy w ten dzień po uroczystym nabożeństwie na placu gen. Pierackiego, na nasze sztandary pułkowe.



„Cel—pierwsza tarcza z lewej strony”

fol. Frontczak

Twardo, z mocą rozlegał się wtór słów przysięgi za głosem ks. kapelana. Po przysiędze, poczty sztandarowe pułków naszej dywizji, a więc 25-go, 27-go i 74-go, stanęły na czele plutonów, które uformowały się w kolumny czwórkowe, wyruszyły do pierwszej defilady... Sprężyły się mięśnie prostując nasze postacie, gdy z podniesionymi głowami defilowaliśmy przed frontem przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych. Po defiladzie, chcąc uczcić pamięć bezimiennie poległych bojowników o sprawę Ojczyzny, oddaliśmy im hołd przy Grobie Nieznanego Żołnierza, składając na nim wieniec.

W południe po tej uroczystości odbyła się akademja w sali teatru kameralnego, którą rozpoczął przemówieniem dowódca 27 p. p. p. ppułk. Czaplinski.

Po akademji, której program wypełniły występy strzelców z cenz. i orkiestry 27 p. p., odbył się w sali świetlicy

żołnierskiej wspólny obiad. Udział w nim wzięło wielu gości wojskowych i cywilnych. W czasie obiadu przemawiali do nas p. pułk. Kapciuk, p. starosta Rogowski i p. prezydent m. Częstochowy Mackiewicz.



Ideał koski

fol. Pankiewicz

Po przemówieniach, tak gości do nas, jak i wyrazieli naszych myśli i uczuć w stosunku do nich, jednego z kolegów, dowódca naszego Kursu, p. kpt. Szulc odczytał depeşe gratulacyjne od gen. dyw. Norwid-Neugebauera, inspektora armji, gen. Gąsiorowskiego, dowódcy 7 dywizji i pułk. Maczka, dowódcy piechoty dyw.

Miło przeszedł nam nasz żołnierski obiad, od którego powstałiśmy pełni radości życia i żołnierskiego humoru. A wieczorem w salach kasyna oficerskiego bawiliśmy się na „Wieczorze Podchorążych”!

Strz. z cenz. Garyga Józef

ŚWIĘTO PODCHORAŻEGO W RÓWNEM

W dniu 28.XI z okazji Święta Podchorążego w sali Domu Żołnierza odbył się „Wieczór Żołnierski”, urządzony staraniem IV kursu podchorążych rezerwy 13 D. R.

Na program imprezy złożyły się:

Występ chóru pod kierownictwem strzelca z cenz. Łopackiego, orkiestry pod batutą strz. z cenz. Tymickiego, deklamacyj i recytacji z „Noey Listopadej” w wykonaniu strz. z cenz. Dobrzańskiego.

Ponadto zespół dramatyczny IV kursu pchor. rezerwy odegrał jednoaktówkę Walewskiego p. t. „Farbiarze” — oraz humoreskę p. t. „Sąd nad ofertą” napisaną przez strzelców z cenz. z IV kursu. Reżyserował strz. z cenz. Zgorzalewicz, afisze i dekoracje strzelcy z cenzusem Gąsiorowski i Gąsiecki.

Na przedstawienie przybyło szereg przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych. Przedstawienie powtórzone w dniu 2.XII—dochód z imprez przeznaczając na cele społeczne Białego Krzyża.

W dniu 29 odbyła się przysięga strzelców z cenzusem oraz defilada kursu przed zastępcą D-cy XIII dywizji p. plk. Myrkiem, D-cą 13 p. a. l.

Po defiladzie kurs powrócił do rejonu gdzie w izbach żołnierskich odbył się „żołnierski obiad”, na który zaproszono panów dowódców poszczególnych pułków garnizonu rówieńskiego, panów oficerów wykładowców na kursie, oraz d-ców z poszczególnych baonów i kompanij.

Podczas obiadu przemawiał pan plk. Myrek oraz w imieniu kursu p. kpt. Rolke D-ca kursu.

D. K. R. K. Równe.

Strzelec z cenz. W. Milczarek.

PO PRZYSIĘDZE

Jak na dziesiątą stronę oklepny gaduła zabieram się do pisania poważnego sprawozdania z ostatnich uroczystości— aż tu fala nagle rozpacz powstrzymała mi rękę w pisarskim napadzie. Chryste Panie! — pomyślałem — przecież tego nikt czytać nie będzie! I włosy mi dęba stanęły, bo na dobitkę główny nasz korespondent wyjechał sobie do Warszawy... a ty, człowieku, siedź za niego i gładź, i morduj się z tak niewdzięcznym tematem, który napewno wszystkie podchorążówki targają na swój sposób.

A zresztą czy to nie sztuka z rzeczy tak nudnej, jak sprawozdanie, stworzyć coś możliwego do czytania?

Bo pisać, że „było” Święto Podchorążego — chyba nie



Na tarczowni

fol. Królicki

wypada! Pisać wreszcie o alarmie, czy to o naszym Domu Żołnierskim — również nie wypada bo to już każdy wie; a jeżeli nie wie — to powinien był się przynajmniej o tem już wcześniej dowiedzieć.

Jest jednak sprawa, która nas bardzo boli!

Oto nie znamy miasta...

Dzięki Bogu jesteśmy w Cieszynie trzeci miesiąc, a jednak maleńki fakt (zaraz go przedstawię!) wyprowadził nas z równowagi i wykazał, że w przyszłości nie nadajemy się na dowódców.

Oto przykład; Wieczorem 27 listopada był capstrzyk przez ulice miasta. Oczywiście nie obeszło się przytem bez pompy... Każdy szedł wypięty jak struna, ale zielonego nie miał pojęcia gdzie idzie — którądy idzie — i poco idzie — a wreszcie jaką drogą powróci do koszar...

Sądzę więc, że władze powinny ułatwić nam częstsze przebywanie na mieście, ażeby wyrobić w nas zmysł szybko orientującego się strategika w nieznanym sobie terenie.



Na czujce

fol. Frontczak

Doskonale pamiętam tę niezapomnianą chwilę marszu...
...oto lśnią lufy karabinów światłem pochodni...
...„Warszawianka” burzy w żyłach młodzieńczą krew,
a dziecięce sny o srebrnej szabelce roją się przed rzeczywistością...

...i palce drżą lekko pod dotknięciem zimnej kolby,
a rozpalają się nagle melodją pieśni...

...chcesz płakać i śmiać się zarazem, a dziwny spazm dreszczu przesywa ciało, rzucając nowe światło przed nami...

A chór dalej nuci;

Hej, kto Polak na bagnety...

...aż huragan entuzjazmu, szaleństwo, odwaga, poczucie honoru i pełna świadomość kogo wzięliśmy w obronę — daje nam poczucie wielkiej potęgi i mocy

Nie może więc nas zadziwić szaleństwo ludzi, którzy na pewną śmierć pędzą w niepowstrzymanym ogniu kul i bagnatów, bo tak zawsze czynią Młodzi!

A my nimi właśnie jesteśmy...

Żołnierską w sobie czujemy krew...

Orle pióra, które tak uroczycie do czapek nam przypięto, nie na paradę są przeznaczone, ale mają — jak wyraził się Pan Pułkownik — wyrabiać w nas pewność siebie i ten hyr góralski, który przywiedliśmy ze sobą od gór.

Wprawdzie z rozmaitych stron „duchają” na nas wiatry i wiele przykrości spotyka nas w życiu. Nie znaczy to jednak abyśmy się mieli dać ugiać!

Przeciwnie! Tylko przetrwać taką chwilę! Zwycięza zawsze silny i odważny!

Tak postępuje żołnierz po przysiędze!

Strzel. z cenz. J. Korona.

Cieszyn

BIEG MYŚLIWSKI W SZKOLE PODCHORAŻYCH W BYDGOSZCZY

Zapowiadany oddawna bieg myśliwski, wyczekiwany był przez podchorążych szwadronu i baterji z niecierpliwością. W miarę jednak zbliżania się tradycyjnego biegu, miny rzedły, gdyż panujące od kilku dni zimna i deszcze nie wróżyły wesołego i brawurowego jak corocznie nastroju.

Nieba jednak okazały się łaskawe, bo oto dzień 9 listopada wstał piękny i pogodny, już od samego rana promienie słońca, przedarłszy zaslonę spowitą z całunu chmur i mgły, uśmiechnęły się do braci podchorążackiej, zwiastując pogodę, to też i humory poprawiły się, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

A mieli z czego się radować podchorążacy, bo oto tegoroczny bieg miał prowadzić osobiście Komendant Szkoły płk. Schwarzenberg-Czerny, na Jego rozkaz od kilku dni robiono w kasynie szkoły generalne porządki, by po odbyciu biegu sprowadzić gości na bigos i tańce...

Bieg miał się rozpocząć o godz. 14.30, a już o 14.00 wdziało się licznie zebranych gości przy końcu ul. Gdańskiej, obok snujących się aut i samochodów ciężarowych, przeznaczonych do przewożenia widzów po trasie.

O godz. 14.25 na skraju lasu, tuż przy ul. Północnej, widać różnobarwne otoki zaproszonych oficerów garnizonu bydgoskiego, wyrównane szeregi podchorążych, za nimi niespokojne rumaki. Nadchodzącemu Komendantowi Szkoły



Wyrównane szeregi podchorążych...

zdaje raport rtm. Przeradzki i za chwilę ława jeźdźców ginie z przed oczu w głębinie leśnej. Wkrótce ława zamienia się w długiego węża, na czele rwie siwy koń pod płk. Schwarzenbergiem—widny zdaleka, dalej zaproszeni oficerowie oraz oficerowie Szkoły, zamykają sznur podchorążacy.

Stęp, kłus, galop, wiatr wyje w uszach, grudki ziemi przyskają z pod kopyt cwałujących rumaków, dwunastokilometrowa trasa, dwanaście przeszkód, dwa rowy, przed ostatnią przeszkodą finisz, publiczność patrzy z podziwem: pierwszy rwie siwy koń, u czapki jeźdźca orle pióro — to płk. Schwarzenberg. Lekki skok i jeździec pędzi dalej po... lisa, drugi z kolei — rtm. Przeradzki, za nim przelatuje reszta oficerów, a na końcu jak burza, po dwóch, trzech jednocześnie — podchorążacy.

Wszyscy pędzą na skraj lasu, gdyż tam czeka... lis, lecz nim ostatni zdążyli przygalopować na pole, już piękna amazonka w osobie p. Fabrycówny, odkryła kryjówkę i oto potrząsa dumnie lisim ogonem — trofeum biegu.

Teraz ława jeźdźców posuwa się stępą pod mury Szkoły, by za chwilę zejść z koni i wraz z zaproszonymi gośćmi udać się na sale kasyna, na bigos i inne przysmaki. Wesoło i gwarno, a obficie zaopatrzone bufet wpływa dodatnio na humor.

O godz. 17.00 rozpoczynają się tańce, wirujących par moc, ochota wre. Komendant Szkoły jak pierwszy w biegu, tak i tu tańczącym parom przoduje. Wśród wesołego nastroju dobiega godz. 24.00, a z nią koniec zabawy. Cóż robić, wszystko ma swój koniec. Rozczarowanych trochę gości z powodu krótkotrwałej zabawy pocieszają podchorążacy, że to samo powtórzy się znowu za... rok, więc radzi nieradzi musieli i z tem się pogodzić.

Pchr. Eret K.

LIST Z BYDGOSZCZY

Doroczne święto podchorążego uczciła Bydgoszcz w sposób bardzo okazały.

W przeddzień święta Dyw. Kurs Podch. Rezerwy zorganizował wieczornicę z bogatym programem. Na wstępie krótkie, okolicznościowe przemówienie wygłosił redaktor-korespondent „Podchorążego“ strz. z cenz. Nuszowski, potem nastąpił występ chóru pod dyrekcją strz. z cenz. Szatkowskiego. Historyczne chwile z przed 105 lat odtworzyły przed oczyma zebranych 2 fragmenty „Nocy listopadowej“ Wyspiańskiego. Dzięki reżyserji p. Jerzego Szynclera przedstawienie stało na wysokim poziomie artystycznym. W drugiej części wieczoru zademonstrowany został humor żołnierski, pięknie zespolony oryginalnymi dekoracjami strz. z cenz. E. Głaszczaka.

Tłumnie zebrani w sali rodzice i znajomi gorąco oklaskiwali młode siły podchorążackie. Te same tłumy publiczności bydgoskiej uważnie przyglądały się nazajutrz uroczystej przysiędze, która odbyła się w centrum miasta na Placu Marsz. Piłsudskiego. Po nabożeństwie w czworoboku stanęły na rynku plutony. Z ust żołnierskich popłynęły słowa wiernej służby dla Państwa i potężnej armji. Do zgromadzonych w krótkich, silnych słowach przemówił dowódca 62 p. p. pan płk. Powierza, który też odebrał pierwszą defiladę kursu. Wspólny obiad był jakby kłamrą zamykającą oficjalne uroczystości świąteczne.

Święto Podchorążych bydgoskich nie zostało zakończone. Wprost przeciwnie czekało ich przeżycie zaszczytne, wielkie i głębokie. Oto w niedzielę 1 grudnia wyjechali w komplecie do Krakowa, by tam powtórzyć ślubowanie w mrokach podziemi wawelskich i rzucić cząstkę ziemi na Sowińcu.

W skupieniu uroczystym zadudniły na bruku krakowskim zamaszyste, żołnierskie kroki. To maszerował Dyw. Kurs. Przed wejściem do Katedry wawelskiej p. płk. Powierza złożył raport Wielkiemu Marszałkowi. Skamieniały w powietrzu ostatnie wyrazy. „Duszę bierzesz, duszę daj“ — i udaliśmy się w głąb krypty. W żałobnej krypcie św. Leonarda złożyliśmy hołd szczątkom cielesnym Wodza Narodu. W milczeniu przesunęliśmy się przed srebrną trumną, od której biło technienie nieśmiertelności. W małej ciszy pograżeni zdaliśmy sobie sprawę jak ubogie są nasze słowa dla wyrażenia hołdu Jego cnotom i epokowym czynom... Na szczęście długie jeszcze pokolenia będą mówić i myśleć o Nim i kształtować charaktery na jego czysty wzór rycerski.

Na drugi dzień udano się pieszo na Sowińiec. Na Oleandrach uczczono pamiętny moment wymarszu „Pierwszej Kadrowej“. Po półtoragodzinnym marszu wkroczone na stok

Sowińca. Z rąk naszych posypały się cząstki ziemi na pomnik wznoszony w hołdzie Odnowicielowi naszej ojczyzny.

Zwiedzanie zabytków prastarego grodu jagiellońskiego uzupełniło program pobytu w Krakowie.

strz. z cenz. B. Nuszowski

Bydgoszcz

BIEG MYŚLIWSKI ŚW. HUBERTA W SZKOLE PODCHORAŻYCH KAWALERJI W GRUDZIĄDZU

W życiu kawalerzysty bieg myśliwski św. Huberta, należy niewątpliwie do miłych przeżyć w jego codziennej pracy.

Ostatnia godzina obowiązkowych zajęć przeszła w gorącym naprężeniu, po której ogromna ława podchorążych runęła ku stajniom, by ostatecznie przysposobić się do biegu. Zbiórka dywizjonu, raport Komendantowi Szkoły ppłk. Litewskiemu i oto wyjeżdżamy z koszar na rozległą „Saharę“ każdy pełen otuchy, i nadziei, i zadowolenia.

Bieg prowadził Komendant Szkoły — poszczególne plutony dowódcy plutonów. Trasa biegu interesująca, urozmaicona ciekawymi przeszkodami, dała dużo emocji i sympatycznego nastroju.

W końcowej fazie biegu wjeżdżamy do lasu, w którym według naszych przypuszczeń miał się ukazać lis. Wszystkie oczy nasze a nawet i końskie zwrócone są na mastra biegu szukając bodaj najmniejszej wskazówki, któraby odsłoniła rąbek tajemnicy. Obserwacje nasze nie dają jednak pozytywnego rezultatu, twarz mastra jest nieprzenikniona i nie z niej nie można wyczytać — wobec tego wracamy do poprzedniego poszukiwania w lasu, aż sygnał zbiórki przerywa denerwujące napięcie i cały szwadron rusza na plac wyścigowy, gdzie już nieodwołalnie odbędzie się finał biegu.

Ostatnie minuty wleka się niemożliwie wolno, na twarzach uczestników widoczne podniecenie, każdy obmyśla sposób, któryby dawał najpewniejszą gwarancję uchwycenia lisa.

Wjeżdżamy wreszcie galopem na obszerny plac wyścigowy, skaczemy kilka przeszkód, aż nagle wyjeżdża nagorącym mustangu upragniony lis, nie jest w stanie powstrzymać w tej chwili rozpedzonej ławy podchorążych, każdy pędzi w zawrotnym tempie, lis skręca w prawo i w lewo, aż osiąga go zręcznym chwytem pchor. Belina-Prażmowski.

Pierwsza część programu zakończona, zsiadamy z koni i udajemy się do pobliskiego lasu, gdzie każdy z zaproszonych gości i uczestników biegu otrzymuje upominek w postaci miniaturowego wędzidelka.

W krótkich słowach Komendant Szkoły gratuluje zwycięzcy biegu wręczając mu pięknie wykonane srebrne wiaderko do ponczu, nagrodę przechodnią, ufundowaną przez 1 Pułk Strzelców Konnych. W dalszym przemówieniu ppłk. Litewski podkreśla doniosłość tradycyjnego biegu św. Huberta, dziękując rtm. Błasińskiemu przedstawicielowi 1 pułku strzelców konnych za ufundowaną nagrodę, wreszcie przemówienie swoje kończy okrzykiem na cześć dzielnego pułku ochotczy podchwyconym przez brać podchorążacką.



W pogoni za lisem

Teraz przychodzi kolej na tradycyjny bigos. W wesołym koleżeńskim nastroju wśród częstych toastów i ożywionych rozmów kończy się tradycyjna uroczystość.

pchor. A. Trzeciak

PRZYGOTOWANIE TEORETYCZNE DO LOTÓW SZYBOWCOWYCH W BYDGOSZCZY.

W dniu 1 grudnia b. r. odbyło się w sali rycerskiej Szkoły uroczyste zakończenie V teoretycznego kursu szybowcowego.

Moment zakończenia poprzedziły egzaminy pisemne z zakresu zdobytych wiadomości.

Interesujący się żywo sportem, raczej wyszkoleniem szybowcowym, Komendant Szkoły, płk. Schwarzenberg-Czerny, zaszczycił swą obecnością zebranych słuchaczy, dając czynny wyraz temu jakie znaczenie przywiązuje do tej nowej, a już tak zaawansowanej gałęzi naszego rzemiosła wojennego. Wśród licznie zebranych oficerów nie brakło oczywiście Dyrektora Nauk i Opiekuna Sekcji, p. ppłk. dypl. Kotarby.

Nie dziw więc, że mając takich protektorów możemy działalność swą rozwijać w niecodziennym tempie i być magnesem przyciągającym sympatyków z całej Bydgoszczy.

Choćby więc prezes Koła Szybowcowego Okręgu Bydgoszcz, p. inż. Stabrowski, nie zaznaczył w swym wstępnym przemówieniu, że nasza sekcja wśród wielu innych przoduje, to wystarczyłby rzut oka na szalenie wypełnioną salę, aby do tego wniosku dojść samemu. Oto bowiem na 131 podchorążych młodszych roczników kurs ten ukończyło 143 słuchaczy z poza Szkoły Podchorążych. Na liczbę tę składają się panie, panowie oficerowie świeżo do Szkoły przydzieleni oraz z garnizonu (starsi już dawno latają), oraz młodzież szkolna z gimnazjum klasycznego, ze szkoły przemysłowej i seminarjum.

Imieniem świeżo upieczonych adeptów sztuki latania przemówił pchor. Matwin, wyrażając podziękowanie Panu



Bieg św. Huberta w Grudziądzu. Zbiórka



Z lotów szybowcowych w Bydgoszczy. „Na obie łopatki”

Komendantowi, Panu Dyrektorowi Nauk, zarządowi Sekcji oraz panom instruktorom za umożliwienie uczęszczania na

H E J Ź E I N A L I S A I

(Z cyklu: Kronika SPArty)

Jest cały starszy rocznik. Nie wyłączając podoficerów służbowych baterij, a nawet — stajni, które pozdawali z ciężkim sercem młodszym kolegom, nie kryjąc szczerą obawę o stan moralny i zdrowotny... dwóch niezdolnych do myśliwskiego biegu koników. Wszystkie inne osiodłane, w względnie wyrównanych czterech szeregach, czekają na otwartą ujeżdżalnię. Niektóre w myśl starożytnych tradycji grzebią nogami i strzygą uszami, większość zwłaszcza te z młodszego rocznika wypożyczone, mają siłę zaledwie na zatoczenie młynka ogonem.

- My naturalnie mamy znowu konie młodszego rocznika.
- Jak w zeszłym roku.
- Ale szef wpadł.

— Szef istotnie dosiadł białego, szerokopęcynowego rumaka, który na uderzenie jednoczesne dwoma ostrogami reaguje uniesieniem jednej powieki do połowy oka, poczem znowu wpada w stan kataleptyczny.

- Panowie, nie krzyczcie, bo wystraszy się i może ponieść.

— Nie obawiaj się szefie; on chodził przez pięć lat z beczką z wodą, to nabrał już dobrych manier i poczuł godności osobistej.

Wbrew hiobowym przypuszczeniom, po kilkuset metrach okazuje się, że pogardą otoczone konie młodszego rocznika, mają jeszcze wystarczającą ilość temperamentu, by pozbyć się niezbyt wygodnych jeźdźców.

Ciągną cztery długie zastępy, po dziesięć, jednaście trójek każdy, Humory

...zakreśla nogami przedziwne, ale pełne dostojności esy-floresy... fot. Dobromirski

kurs dający prawo i potrzebne dane do próby sił na szybowskiu.

Względy natury atmosferycznej, że tak powiem językiem dyplomowanego „latawca”, narażają nerwy najmłodszych szybowników na poważną próbę wytrzymałości. Teraz latać nie można i dopiero w lutym nasze „Czajki”, „Wrony” i „C. W. Jotki” po zimowej drzemce obsiadają zbocza fordońskie, poświęcając się na ofiarę całozłamaniam skrzydeł, skrzyńki i t. p. narządów.

Wcale się też nie dziwiłem, że życzeniem mówcy było jaknajrychlejsze rozpoczęcie lotów, lub choćby szurania, ostatecznie „przyjemności” bujania się na szubienicy (czytaj chwiejniczy). Mamy już wrodzone skłonności do bujania, więc gdy się zdarza okazja do legalnego stosowania tego sportu bez obawy zahaczenia o §§ części IV-tej, to dlaczego sobie nie użyć?

Z plikiem notatek i skryptów pod pachą, oraz nadzieją latanie w pobliżu pachy, t. zn. w sercu, rozeszli się zebrani do swych zwykłych zajęć.

Będzie o nas znów głośno za dwa miesiące i wtedy poproszę o kawałek miejsca w miłym „Podchorążym”.

są wspinała. Ktoś śpiewa niezbyt czystym barytonem, ktoś ćwiczy z zapalem wahadłowe poruszanie łydkami, ktoś z przyzwyczajenia jedzie bez strzemion, inny dla zrobienia dobrego wrażenia stara się zmusić, marzącego o obroku konia do caplowania — jednym słowem w powietrzu czuć... nietyle lisa, ile bigos, który prawdopodobnie po biegu będzie spożywany.

Stasiek obiecuje, że wróci do koszar udekorowany wstęgami zwycięzcy. Ja wątpię.

Na polu wyścigowym kilka drobnych wyjaśnień w celu ochronienia żywota ewentualnie spotkanego żywego lisa, bo lis lisem, ale bieg za lisem może nie być za lisem. To jest dość skomplikowane.

Uwaga. Pięćminutowe odstępy. Zastęp czwarty, to jest nasz rusza. Jedna wolta, potem jakaś dziwna arabeska i wyciągnięty galopem prosto na kilkunastometrowej szerokości herog. Bez pomocy wyższej matematyki, poprotu na oko ocenia się wysokość na 1.10 m. Z dokładnością 0,01.

Dwoma rzutami, kilkanaście koni odrazu. Jakaś bardzo elegancko włożona — mniej elegancko uszytywniona — czapka, traci cechy nakrycia głowy pod kopytami.

Konie rozwijają się w długi rząd, wachlarzowato zarzucający na skrętach. Na czele poręcznik.

Odstępy kurczą się i rozprężają. Z chrzęstem rozstępują się gołe gałęzie krzaków, pod kopytami migają czarne plamy dolów i jam.

Nawprost wysoki nasyp. Prawie na szyi końskiej i zjazd na drugą stronę. U stóp kilka starych wnęków strzeleckich o zamazanych krawędziach.

Siłą woli raczej, aniżeli zdolności jeździeckich podtrzymują łączność z koniem. Zły jakiś zamieszanie.

Tolek leży pod koniem. Ma niezmiernie niemądry wyraz twarzy. Koń ma wzniesione wszystkie cztery nogi do góry i powoli wali się na Tolka. Nieprzyjemne nawet dla widza.

Staram się zatrzymać „Zucha”. Gdzież tam. Obudzone instynkty przodków - mustangów ponoszą go. Zresztą dwóch zostało.

Napół uschnięta gałąź chlasnęła mnie w twarz. Na szczęście skutecznie „na sucho”. Zato Romek ma na policzku i czubku nosa kilka kropel krwi.

Tolek dołączył. Twierdzi, że niezupełnie odróżnia są-

...kilkanaście koni odrazu...



fot. Dobromirski

siadów. Pozatem ma bardzo fantastyczne baczki z ziemi, upodabniające go do księcia Pepi.

Konie — niektóre — chrapią. Tumany pary nad zadami.

Kilkaset metrów klusa po wąskiej leśnej drodze. Zbita masa koni gra zmęczeniem i dziką żądzą swobody.

Las otwiera się. Znowu horda.

Głuchy tętent bije echem po lesie. Nad wyciągniętymi szyjami pochylone sylwetki. Linja ogona i grzywy są odcinkami jednej prostej. Ktoś zawadził przednimi kopytami i łomotnął płotkiem o ziemię.

Tylnie nogi podwijają się instynktownie. Płaski łuk nad płytkim rowem. Lasek. Czuć lisa. Konie zmieniają się w struny. Ostrogi nerwowo biją staccato po gwałtownie opadających i wznoszących się bokach. Ktoś dosłownie wisi przed głową końską i miarowo okłada palcatem wierzgający zad.

Mignęło jedno drzewo, drugie, coraz więcej. Gałęzie piorą po twarzach, po rękach. Kładę się na szyji, widząc nisko przed sobą grubego konar. Głową nie zawadziłem, zato nogą o pień drzewa. Brrr...

Po lesie przesuwają się wyciągniętym klusem poszukiwacze lisa.

Ani śladu. Żeby choć jeden ogar albo chart.

Po jednej przekątnej, po drugiej, naokoło. Nic.

Gdzieś wołają. Co? Jest!

Szef znalazł lisa.

Zbiórka na polu wyścigowym. Ale jeszcze, gwoli podkreślenia werwy ławą na herdę i półvolta takim galopem, że konie bokami wpadają na siebie. Jakiś biedak otarł spodniami całą pianę z „Zucha”.

Luźnicy odbierają konie, podają płaszcze. Dla rozgrzaniu się jeszcze raz na herdę, ale już bez koni. To jednak dużo trudniej.

A potem szefa do góry, gdzie na tle nieba zakreśla nogami przedziwne, ale pełne dostojności esy floresy.

Wszyscy lisowczycy, a jest ich czterech, meldują się u komendanta Szkoły. Jedna z pań dekoruje ich kolorowymi wstążeczkami. Szkolni fotografowie rzucają się z miejsc na miejsce. Klękają, podskakują, jednym słowem robią zdjęcia, choć podobno tylko jeden z nich ma aparat naładowany, reszta robi tylko dobre wrażenie. Dekoracja ukończona, Maniek potężnym głosem, który niewiadomo skąd się wydobywa krzyczy:

— Pan pułkownik niech żyje!

Komendant żywo protestuje, ale ponieważ głos jego dochodzi z wysokości wierzchołków najwyższych sosen, więc nie może ostudzić młodzieńczych zapalów,

Potem kolejka na „szefa” instruktorów jazdy konnej, którego jednak z powodu nadwagi, do stratosfery przenieść nie można. Zato „nasz” dakowiec niczem żóraw wzbija się w powietrze i opada z podciętymi skrzydłami na wyciągnięte ręce, budząc ogólną trwogę zębatymi kółkami przy ostro-

gach. Jeden po drugim. Bliższe powierzchni ziemi warstwy powietrza zaroiły się szarżami.

Ktoś obdarzony sokolim wzrokiem stwierdził, że najwięcej tem się bawi wykładawca matematyki. Hajda na Sopot! Niepomaga sromotna ucieczka z placu boju, bo sam komendant Szkoły zagradza drogę i długo, długo matematyk buja w obłokach. Oby tak w powietrzu zapomniał o logarytmach, całkach i różniakach, a figury sferyczne zostawił tam, gdzie natura przewidziała dla nich miejsce. Nie da rady, ktoś stwierdził, że tam w górze, napewno myślał nad tematami zadań klasowych.

Szefowie i starsi klas zapraszają panie i panów na tradycyjny bigosik. Panowie oficerowie są w godnym pożałowania położeniu, bo otrzymują porcyjki na talerzach. Naturalnie nie można porównać talerza z menażkami, które drżą w rękach zawodników. Drżą, bo przecież trudno jest taki ciężar utrzymać. Zresztą panowie oficerowie nie korzystają z „repety”; u nas jest w złym tonie, jeżeli któryś z podchorążych zadowoli się jedną porcją.

Przy kotlach tłok. Nawet nie pomaga wołanie jakiegoś sprytnego a wygłodzonego podchorążego:

— Przejdźcie! Proszę trzy menażki bigosu dla pana pułkownika!

Stary kawał.

Robi się szaro.

Długa kolumna trójek ciągnie po rozmokłej drodze na na błyszczące pierwsze lampy miasta.

Po zastępach tłuką się melodje chóralne śpiewanych piosenek. Przeważnie rzewnych.

— Wiecie panowie, że Huberta powinno się robić w niedzielę... choćby dla ukaranych zetoka.

Ma rację.

Toruń S. P. Art.

pechor. Z. Zajączkiewicz.



„Panowie oficerowie są w godnym pożałowania położeniu...”

fot. Dobromirski

A L A R M

KURS SZYBKICH PRZEPROWADZEK

Nie wszyscy mają szczęście odbywać skróconą czynną służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy, przy 27 p. p. w Częstochowie. Nie wszyscy strzelcy z cenzusem, (to znaczy końcówką, która zwalnia szczęśliwców od mycia mienażek, czyszczenia klozetów, szorowania klatek schodowych i daje cały szereg udogodnień), w pierwszych dniach roku szkolnego przechodzą przez prawdziwy chrzest rekrucki, jakim jest alarm.

Króciutkie słowo, ale jakże przykre. Kilkadziesiąt dwupiętrowych łóżek na swych anemicznych cienkich nóżkach, dźwiga na sobie stukilkudziesięciu zdrowych, zgrubsza okrzesanych, dziarskich i ofermowatych chłopców. Są to t. zw. strzelcy z cenzusem, różniący się między innymi od zwykłych strzelców i tem, że w czasie snu logarytmują pierwiastki, odpowiadają delegatowi na pytania, które mieli zadawane na maturze, mówią o rozwoju tragedji w literaturze polskiej, jednym słowem umysł ich jest jeszcze nasiąknięty zbędnymi wiadomościami, powoli ładowanymi przez nadzwyczaj ujmująco zgryźliwych p. p. profesorów, wiadomościami zbytecznymi, których starają się pozbyć nawet w czasie błogiego snu, gdyż organizm ludzki niechętnie trawi takie paskudztwa i wzdraga się wszystkimi siłami od przyjmowania niestrawnych potraw.

...Świerszcze dość zgorzone zakłóceniem nocnej ciszy, przysłuchują się padającym co chwila pytaniom i odpowiedziom, przerwawszy swój święty koncert. Jeszcze chwileczka — i gorące dyskusje zamyka głos trąbki, trochę odmienny od powszedniego! Alarm!!! To cholernie magiczne słowo, które, wypadłszy z ust podoficera służbowego w ułamku sekundy stawia na nogi 1 1/2 setki młodzieńców. Wśród niesforne roju słów wyróżniają się dobitnie władcze rozkazy drużynowych i podoficera służbowego, szybko i przykro wpadając w muszeli uszu. Przez mur przekleństw, ostrym sztychem przebijają się od czasu do czasu melodyjne, rdzennie polskie: psiakrew. Chleb, pasta, papiery listowe w zgodzie leżą do chlebaków. Niektórzy troskliwie połędwicę i chleb owijają w onuce i rzucają z pośpiechem do plecaków. Inni znów z dobroduszością, anielską cierpliwością ubierają się po kilka razy, bo włożyli nieswoje mundury. A czas nagli, depcze strzelcowi po bosych, nieobutych jeszcze piętach.

Któraś drużyna Kaemów, składająca się z 12 chłopców ciężkiego kalibru oddała się namiętnemu tańcowi św. Wita. Rekrucka, wojskowa choroba św. Wita polega na tem, iż udział w niej biorą nietylko strzelcy, le i sorty mundurowe. Smutnie kończy się taka przymusowa „potańcówka“. Zawsze potem komuś czegoś brakuje. Oby każdy alarm był apelem i przestroga dla dowódców, aby wychowancom swoim nie czynili srodze dotkliwych przykrości.

Strzel. z cenz. B. Piórkowski.



Na przeszkodzie

fot. Frontczak

Z TARNOPOLA

Praca nasza w kole wychowanków kierowaną przez kol. A. Treszkę wre na dobre. Sekcje, których u nas jest pięć (a to chóralna — kol. Sitarski, muzyczna — kol. Bońciun, sportowa — kol. Buzdygan, fotograficzna — kol. Szulc, świetlicowa — kol. Brzeżański i redakcyjna — kol. Palamarczuk) pracują nad wypełnieniem zadań i wskazówek, których udzielił nam Dowódca kursu. Pierwszy nasz występ publiczny to 11 listopada na akademii żołnierskiej. Większe przygotowania czynimy na 29.XI, jako w dzień naszej przysięgi.

W dniu 4 listopada kompanja nasza brała udział w pięknej i podniosłej uroczystości powitania nowego Dowódcy 12 D. P. p. pułkownika Paszkiewicza Gustawa, który przy dźwiękach marsza generalskiego przyjął raport od dowódcy 54 p. p. pana pułkownika Polniaszka, oraz dokonał przeglądu pułku.

W dniu 8 listopada odbyło się pożegnanie przez garnizon Tarnopola p. Inspektora Armji gen. Rómmela, który przy dźwiękach hymnu narodowego dokonał przeglądu garnizonu, oraz w serdecznych, żołnierskich słowach żegnał Dowódców garnizonu, oficerów, podoficerów, podchorążych i szeregowych, podkreślając swoje uznanie dla garnizonu wskazał na wielki zaszczyt służby w pułkach kresowych. Następnie zabrał głos Dowódca 54 p. p. pułkownik Polniaszek, który dziękował p. Inspektorowi gen. Rómmłowi za tyle uznania dla tutejszego garnizonu, oraz

Rojem

fot. Milczarek

Tyrallera naciera

fot. Milczarek

zapewniał, że serdeczność i pamięć tutejszego garnizonu towarzyszyć będą zawsze Panu Generalowi na nowej placówce pracy.

Z kolei okrzyk na cześć Pana Generala wznosił Dowódca 12 D. P. pułkownik Paszkiewicz. Na zakończenie odbyła się defilada garnizonu, którą odebrał Pan Inspektor Armji, gen. Rómmel.

strzel. z cenz. Marjan Palamarczuk



OTWARCIE ŚWIETLICY ŻOŁNIERSKIEJ WE LWOWIE

Dnia 26 listopada załoga 19 p. p. „OL“, przy którym istnieje Kurs Podchor. Rez. obchodziła swe wielkie święto: otwarcie świetlicy żołnierskiej, oraz 17-letnią rocznicę istnienia pułku. Na otwarcie świetlicy przybyli p. gen. Litwinowicz dow. D. O. K. oraz przedstawiciele społeczeństwa lwowskiego, które specjalnie interesuje się swoim „benjaminkiem“. Wykonawcami programu byli wyłącznie strzelcy z cenzusem, którzy dali ze siebie maximum, aby uroczystość wypadła jak najokazalej.

Wielką niespodzianką dla obecnych na uroczystości była zapowiedziana przez radio lwowskie specjalna audycja radiowa dla 19 p. p. W tem społeczeństwo lwowskie dało wyraz swemu uczuciu i przywiązaniu dla 19 p. p.

Otrzymaliśmy w posiadanie placówkę, w której możemy się godziwie zabawić, wzbogacać swój umysł różnymi wiadomościami. Ponadto mamy być wychowawcami naszych towarzyszy broni z poza Kursu Podchor. Rez. Otwiera się



Na punkcie obserwacyjnym

fot. Królicki

przed nami nowe pole do popisu. Zdając sobie dokładnie sprawę z roli, jaką przyjęliśmy na siebie, powoli acz systematycznie zabieramy się do pracy, aby nadać jej odpowiedni kierunek i rozpęd.

Strzel. z cenz. Gutowski St.

ŚWIĘTO PODCHORAŻYCH

Wieczór 29 listopada — godzina 6 — grób Nieznanego Żołnierza oświetlony reflektorami, przy nim warta honorowa S. P. R. A., stroje historyczne, postacie wyprężone — Spokój na ich twarzach i otaczających ich ludzi, maluje się wycuciem wąskości chwili.

Zapłonęły znicze, zagrały fanfary, błysk przedarł ciemność nieba, a po nim huk dział... — to S. P. R. A. oddawała hołd tym którzy w ten sam dzień przeszło 100 lat temu wyruszyli w bój o wolność i niepodległość Polski.

105 lat temu w podobny wieczór dżdżysty, pochmurny, listopadowy, zapłonęły ognie na Solcu i Starym Rynku — hasła do powstania narodowego — do buntu — do jednej z tragedji narodowych.

Tego wieczoru ze Szkoły Podchorążych Piechoty im. ks. J. Poniatowskiego wyruszyli w bój młodzi zapaleńcy, „Szaleńcy Boży“, aby w imię czegoś wyższego w imię niepodległości Ojczyzny, przelać swą krew, oddać ze siebie wszystko, walczyć do ostatniego tchu z zaborcą a wreszcie zginąć.

Mieli dwu wrogów — zaborcę i apatję społeczeństwa. Szli mimo tego — szli z wiarą, że osiągną to co ich dziadowie stracili — ...szli, aby zadać kłam temu, że Naród Polski przestał istnieć — ...szli, aby własną krwią zadokumentować, że nie poddali się rozpaczce i zwątpieniu, że jad bezczynności i upodlenia nie wkraść się w ich dusze, że istnieją w narodzie pewne wartości, które nie dadzą się wykreślić: miłość Ojczyzny i honor, że wyżej cenią wolność i niepodległość Ojczyzny aniżeli prywat, aniżeli swe młode życia — ...szli wreszcie, aby zaborcom wskazać, że nigdy bezkompromisowe żądanie wolności nie zostanie zastąpione dążeniem do zdobycia jej ciężkim trudem niewolnika... Szli sami, zdani na swe siły — poszli zapoczątkować jedną z tragedji narodowych i zginęli. Mimo, że mieli dużo dróg pośrednich, wybrali najprostszą — walkę na śmierć i życie. Walczyli z zaborcą i apatją społeczeństwa na brukach Warszawy, na polach Grochowa i Olszyny, na szanecach stolicy — oddawali swe młode życia, walcząc do ostatniego tchu w piersiach, do ostatniego naboju, a gdy i tego nie stało, szli na bagnety i ginęli z pieśnią na ustach: „Kto przeżyje wolnym będzie a kto zginął wolnym już“.

Nie osiągnęli swych marzeń, nie osiągnęli swego ideału, ale przekonali Europę, że Naród nie zginął, że nawet pozbawiony bytu państwowego istnieje i żyje. Przekazali



Regulaminy...

fol. Olańczuk

następnym pokoleniom te siły i wartości, które kazały im kilkanaście czy kilkadziesiąt lat walczyć dalej w imię wyższych ideałów.

Twarze skupione, oczy wpatrzone w głąb w przestrzeń historyczną. Maszeruje zmiana warty S.P.R.A. następuje zdanie warty w krótkich prostych słowach. Poszli — pozostali tylko wartownicy honorowi S.P.R.A. — Przyjęli spuściznę — to święte posłannictwo, którego nie wolno nam zatracać i któremu nie wolno nam się sprzeniewierzyć. Mamy stać na straży tych ideałów, pracować nad rozwojem państwa, a gdy przyjdzie potrzeba, gdy Ojczyzna zażąda od nas naszej krwi, wzorem bohaterów z 1830 roku pójść i walczyć do ostatniego tchu i złożyć to co mamy najdroższego: — swe życie.

Musimy dać ze siebie maksimum energii i dobrej woli, by osiągnąć ideał w walce, o który tyle krwi przelano.
Włodzimierz S.P.R.A.

R. Lajdler

W RYCERSKIEJ SZKOLE WIELKIE ŚWIĘTO!

Pobudka! Pobudka! — Wstać! — rozlega się jak zawsze w niedzielę o godz. 7-mej donośny głos podoficera służbowego. Początek dnia świątecznego rozbrzmiał gamą młodego śmiechu i wesołych pogwarek. Na twarzach widać jednak jakiś specjalny nastrój — oczekiwania, w ruchach — pewien gorączkowy pośpiech, w ubieraniu się — nadzwyczajna staranność, troska o ułożenie najmniejszych fałdek płaszcza, „fason“ czapki, zmarszczki na zrolowanym kocu... Nie bez przyczyny dzieje się to wszystko. Doczekaliśmy się bowiem wszyscy wielkiego dnia — dnia przysięgi żołnierskiej. Data

17-go listopada 1935 roku wyrzyna się na zawsze złotymi głaskami w sercach podchorążych I bataljonu S. P. P. Poprzedzona przygotowaniem już przez dłuższy okres czasu, „generalną próbą“ w przeddzień, oczekiwana przez wszystkich gorąco — na koniec ucieleśniła się w postaci pogodnego, słonecznego dnia niedzielnego.

Po śniadaniu wyrównane dwuszeregi 4-ch kompanij w odświętnym nastroju zajęły plac koszarowy. Raport od kpt. Kamińskiego przyjmuje w zastępstwie nieobecnego d-cy I baonu ppłk. Bierowskiego — kpt. Malak. Po chwili oczekiwania na szosie wiodącej z Komorowa daje się słyszeć coraz bliższy warkot motoru. Ciemno-bordo samochód skręca w główną bramę koszar. Wsiada mjr. Milan, który zastępując nieobecnego d-cę S. P. P. płk. Żongołłowicza będzie promował nas na podchorążych. Po zdaniu raportu i powitaniu, 1 kompania - chorągwią przy dźwiękach orkiestry maszeruje po chorągiew, której poczet tworzą podchorążowie szkoły z 9-go rocznika. Bataljon prezentuje broń, orkiestra gra hymn narodowy, poczet sztandarowy odmaszerowuje do kaplicy baonu. Przed wejściem do kaplicy barwny rój mundurów oficerskich. Pomiędzy nimi przewija się zielony wąż podchorążych. Za nim środkiem kaplicy wchodzi potem oficerowie. Dzwonek — i rozpoczyna się św. Ofiara. Poważnie i uroczysto brzmią dźwięki trąb, świegotliwie zawodzi flet. Przez cały czas nabożeństwa orkiestra z Komorowa „zastępuje“ organy kościelne. Po mszy św. z gorącym słowem, ożywionym młodzieńczym zapałem do „wychowanków „rycerskiej szkoły“ zwrócił się ks. kapelan Tomczak. Podniósł na duchu tych wszystkich, którzy przechodzili chwile załamań i niepowodzeń, wskazał przewodnie idee współczesnej młodzieży, która powinna postępować z bezwzględna wiarą w przyszłość, pamiętając jednak — o „ołtarzach przeszłości“. Po tych słowach, które wlały w nas nowy zapas sił życiowych potężnym odzewem wiary rozległa się pieśń „Boże coś Polskę...“ Nabożeństwo skończono.

...Plac sportowy również przybrał odświętny wygląd. Na spowitych zielenią masztach łopoczą znaki Rzplitej. Wokół ustawiają się kompanie. W środku poczet sztandarowy, mjr. Milan, oficerowie. Na podwyższeniu w białej komży staje ks. kapelan. Pada komenda „Bataljon — do przysięgi!“ Skłaniają się czapki. Rozlegają się pierwsze słowa uroczystej rotacji przysięgi — „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu...“ Każde słowo gromko powtarza bataljon. Na twarzach maluje się skupienie i powaga. Wszak chwila ta jest przełomem w życiu. Odtąd obowiązuje już bezwzględne poświęcenie się w służbie najwyższemu dobru — własnemu Państwu. Mjr. Milan przypomina w swym krótkim, prawdziwie żołnierskim przemówieniu, że na tegoroczną promocję poraz pierwszy od czasów niepodległej Polski nie spoglądają z wyżyn Belwederu oczy Wodza, którego całe życie było wszak jedną wielką ofiarą dla Polski — poczynszy od kolebki Ziuka, poprzez drukarską „podziemną robotę“ Wiktora, X pawilon, kazamaty magdeburskie, buławę marszałkowską, aż do królewskiego grobowca na Wawelu. Tem bardziej więc musimy dolożyć starań, ażeby pracą i postępowaniem swoim zasłużyć na miano godnych spadkobierców wielkich ideałów Marszałka.

Następuje moment promocji. Mjr. Milan i kpt. Malak promują delegatów kompanijnych. Oficerowie przeprowadzają to w swoich kompaniach. Na ramionach kłęczących podchorążych polyskuje coraz większa ilość srebrnych emblematów SP. „Trzaskają“ aparaty fotograficzne. Doniosła chwila poszczególnych plutonów uwieczniają klisze i błony. Raz po raz rozlegają się tony pieśni podchorążych 1830 r. — „Oto dziś dzień krwi i chwały“...

Po promocji odbywa się pierwsza w życiu naszym prawdziwie żołnierska defilada. O bruk szosy twardo biją

podkute buty. Byszczą radośnie, z ufnością zwrócone oczy w kierunku odbierającego defiladę — mjr. Milana. Kompania za kompanią przechodzi obok podjum. Wewnętrzne zadowolenie napęła serca — „Dobrze! Udało się!“ Potem kompania chorągwią odprowadza sztandar S.P.P. Ostatni raz w tym dniu brzmi dźwięki mazurka Dąbrowskiego.

Na zakończenie w miłym i serdecznym nastroju, przy „akompaniamencie“ niezmordowanej orkiestry odbył się wspólny obiad z oficerami i podoficerami „uświetniony“ pączkami. Uroczystość skończona.

...W szafach wieszamy świąteczne płaszcze, na których błyszczy listki i srebrne S.P. Zmrok się zbliża. Wielkie święto rycerskiej szkoły ma się ku końcowi. Nadchodzą dni codziennej, szarej pracy. Ustawicznym wypełnianiem obowiązków, zachowaniem karność i ciągłą, wytrwałą pracą zapewnimy sobie według słów Marszałka J. Piłsudskiego to, że „w krótkim czasie dogonimy świat cały i stanimy, jak równi, w wielkiej rodzinie wolnych narodów“.

S.S.P. Różan

pchor. St. Marcinkowski.

PRZYSIĘGA ŻOŁNIERSKA W SZKOLE PODCHORAŻYCH REZERWY ARTYLERJI

Największa ze wszystkich podchorążówek rezerwy w Polsce, Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerji we Włodzimierzu obchodziła niedawno swą doroczną uroczystość zaprzysiężenia kilkuset uczniów, przyszłych podchorążych armji polskiej. Było to wielkim świętem dla całej szkoły, której chlubna tradycja lat ubiegłych, traktuje ten dzień jako doniosłe wydarzenie w życiu każdego ucznia.

W tym to dniu każdy uczeń otrzymuje tytuł kanoniera ten symbol twardej, ciężkiej, artyleryjskiej pracy, hartującej duszę i ciała młodych żołnierzy. To też z wiarą w siebie setki ust powtarzają uroczyste słowa przysięgi.

Roziskrzono oczy, salwy śmiechu, humor i temperament — to nastrój w dniu poprzedzającym samą przysięgę. Kończą się bowiem szare dni rekruckie, ostatnie chwile „wypędzania cywila“; od jutra w murach Szkoły będą już maszerować prawdziwi starzy żołnierze, co to znają karność i dyscyplinę wojskową, przepojeni tężyzną fizyczną i duchową jaką tylko wojsko wpoić potrafi. Trzeba przeto pogrzebać „zamazanego rekruta“, zatrzeć wszelki ślad jego istnie-



Wycior w robocie

fol. Klarnier



Zasłużony odpoczynek

fol. Olańczuk

nia, by nawet cień jego narowów nie pokazał się w kanonierskich szeregach.

Wielki plac ćwiczeń zapelnia się mrowiem pokrak, kalek, pociesznych figur, niosących olbrzymią słomianą kukłę, symbolizującą tego właśnie znieawidzonego rekruta. Żegnają go owacyjnie i z entuzjazmem. Za chwilę pod niebo wystrzela olbrzymi snop ognia. Wśród ryku, gwizdu, bicia w bębny pali się kukła, a wokół niej odbywają się jakieś dziwne pąsy. Orkiestra gra marsza żałobnego, furgoczą na wietrze czarne chorągwie. Całość robi zaiste jakiegoś niesamowite wrażenie i niejednego „cywila“ przestraszyłby się tego makabrycznego pogrzebu.

Niedziela 24 listopada r. b. była właściwym dniem przysięgi. Gęsty, puszysty śnieg swym białym całunem spowili ziemię. Olbrzymi plac ćwiczeń wygląda, jakgdyby przykryty białym kobiercem, specjalnie na ten dzień uszykowanym. Polowy ołtarz, przybrany jedliną i udekorowany barwami artyleryjskimi. Baterje ustawiają się do przeglądu. Wszystko odświętnie ubrane, chrzęści broń, dzwonią ostrogi. Twarze nieruchome, skupione, ale z oczu błyska tysiącami iskier prawdziwie młodzieńcza radość. Padają słowa komendy, orkiestra gra Warszawiankę, Komendant Szkoły p. ppłk. Filipowicz czyni przegląd i wita się ze Szkołą.

Za chwilę, wokół ołtarza, w czworoboku ustawiają się dywizjony S.P.R.A. Miejsce przed ołtarzem zajmują liczni przedstawiciele władz cywilnych i oddziałów garnizonu. Msza polowa trwa krótko. Po jej zakończeniu wtaczają wśród czworoboku trzy działa — sztandary artylerji, na które ma być złożona przysięga. Wzruszenie ogarnia zwarte szeregi uczniów. oto za chwilę staną się żołnierzami Najświętszej Rzeczypospolitej, aby stając na straży Jej Niepodległości, wzorem swych ojców i dziadów, służyć Jej wiernie i wytrwale. „Do przysięgi!“ — odkrywają się głowy, wznoszą ku górze dłonie. Padają mocne, twarde słowa przysięgi. Powoli, w głębokim skupieniu wypowiadają usta uroczyste słowa ślubowania, a w oczach setek młodych żołnierzy widnieje moc postanowienia i wytrwania. Czernieją na śniegu trzy działa, w które wpatrują się z żelaznym uporem oczy kilkuset nowych kanonierów.



Czy jesteśmy fotogeniczni?

Do nowych kanonierów przemówił w mocnych żołnierskich słowach Komendant Szkoły. Zwracając się do nich jako do nowego pokolenia, które otrzymawszy w darze od swych ojców, krwią okupioną, wolność i niepodległość, wino wszystkie swe wysiłki, całą swą moc i trud wyteńczyć w pracy dla utrwalenia wielkości Ojczyzny: „Jesteście przyszłością Narodu — zakończył pan ppłk. Filipowicz — „na was żołnierzach spoczywa głęboki obowiązek dołożenia wszelkich starań, by Polska była po wszystkie czasy wielka i potężna, a Naród polski okrywał się chwałą i laurami“.

Defilada. Miarowym, mocnym, artyleryjskim krokiem łomoczą po bruku zwarte szeregi bateryj, przed Komendantem Szkoły, stojącym w otoczeniu przybyłych gości i starszych oficerów Szkoły. Prężą się młode piersi, z oczu tryska energia, błyszczą dobyte szable, oczy żołnierzy patrzą mocno w oczy swego kochanego dowódcy. Równy, mocno, czwórka po czwórce, bateria za baterią, przesuwają się olbrzymia kolumna.

O godz. 12,30 odbył się obiad żołnierski w którym do rocznym zwyczajem wziął udział Komendant Szkoły wraz z całym korpusem oficerskim oraz przedstawiciele miejscowego społeczeństwa i wojska na czele z p. posłem Suchozawskim — burmistrzem miasta i p. z-cą starosty włodzimierskiego.

Gwarem i śmiechem napełniły się olbrzymie sale jadalne. Ochoczo spożywano obiad, radując się z pierwszych chwil nowego okresu służby. Wszak to przy stołach siedzą już prawdziwi artylerzyści. To też radość i humor zaprezentowały się w formie solowych występów artystycznych przed



„Ogniste” rumaki S. P. R. A.

zgrupowanymi gośćmi. Każda bateria wydelegowała swych najlepszych artystów, którzy swym szczerym humorem wywoływali salwy homeryckiego śmiechu. Kulminacyjnym punktem humoru specyficznego kanonierskiego był wykład o bucie artyleryjskim, kapitalnie sparodjowany z wykładu o armacie. Wspólny śpiew mile i serdecznie zakończył ten niezapomniany w sercu każdego ucznia obiad. Odchodzących gości żegnano gromkimi okrzykami, a prawdziwą owację sprawiło ukochanemu przez wszystkich Komendantowi Szkoły, triumfalnie wynosząc go na rękach. Przez niecałe bowiem dwa miesiące zdołał on pozyskać sobie serca wszystkich wychowanków, kochających Go nie tylko jak swego dowódcę, ale jako najlepszego opiekuna.

Na zakończenie odbyła się wieczorem w sali teatralnej sui generis, rewja żołnierska. Zademontowała ona prawdziwie młodzieńczy, szczerzy humor i dowcip, młodych artylerzystów.

Tak przeminął szybko dzień przysięgi, ale pamięć o nim wryła się w umysły wszystkich uczniów a słowa ślubowania przysięgi zostaną na całe życie przewodnią ideą żołnierza-obywatela.

kan. z cenz. S. Sokółowski

S. P. R. A. Włodzimierz

POGRZEB REKRUTA w S. P. R. A.

Już w przeddzień przysięgi wytworzyła się w Szkole jakaś dziwna atmosfera. Może do tego przyczyniło się ołowiane niebo, które w południe zaczęło przysypywać cały rejon puszystym śniegiem. Wyglądało to tak jak gdyby natura sama chciała przed tym ważnym dniem wszystkie nasze rekruckie niedomagania ukryć raz na zawsze i abyśmy mogli dalsze nasze życie wypisywać na białej karcie. Niektórym sumieniom obciążonym różnymi sprawkami ulżyło zupełnie. Mimo ciemnego nieba wypogodziły się twarze, poprawiły się humory. Gdy tylko się ściemniło, wysypały się gromady uczniów na plac ćwiczeń gdzie przyniesiono pocieszną kukłę, mającą przedstawiać biednego ofermę rekruta. Wszyscy jak dojrzały żołnierz bez litości zaczęli znęcać się nad biednym skazańcem. Rozochocony tłum rzucił wkońcu nieszczęsną kukłę w ognisko. Całe snopy iskier uderzyły w górę jak błaganie o litość nad delikwentem. Nic nie pomogło, nikt nie znał litości dla ofermę z chwilą gdy stawał się prawdziwym żołnierzem. Na tle czerwonych węgla ogniska przostawały się postacie, nabierały sylwetki prawdziwie żołnierskiego wyglądu, podnosiły się wyżej czoła, donośniej i pewniej zaczęło mówić. Dziwnej metamorfozie uległo wielu kolegów. Każdy czuł się już wyjątkiem który zna i wie wszystko Gardłowano coraz głośnie. „Zatkać dziury w okolicy, bo są zbyt ostre wiatry”. „Więcej repety a mniej repetycji”. „Niech żyje czterdzienny dzień pracy”.

Ognisko gasło coraz bardziej w tumanach śniegu. Głosy cichły powoli. Na miejsce humoru przyszedł refleksje. Rozchodzono się powoli w nowe życie z wewnętrznym przekonaniem, że będzie ono doskonalsze od okresu rekruckiego i więcej przyniesie owoców dobrej sprawie.

kan. z cenz. Żebrowski

S. P. R. A. Włodzimierz

„ŁUCK — KRAKÓW — LWÓW”

W pierwszej połowie listopada gruchnęła po naszej kompanji wieść, że w najbliższych dniach może wyruszyć do Krakowa delegacja 24 p. p. dla uczczenia pamięci Marsza Pilsudskiego przez wzięcie udziału w sypaniu kopca ku Jego czci oraz dla złożenia Mu hołdu w krypcie Wawelskiej.

Nadszedł wreszcie dzień odjazdu: 13 listopad. Z ramienia Dyw. Kursu wzięło udział 8 strzelców, w tem 2 delegatów i „redaktor” na koszt pułku. Całość obejmowała 200 uczestników.

Zlustrowani od stóp do głów groźnym wzrokiem szefa, przy dźwiękach orkiestry pułkowej wsiedliśmy do wagonów.

Nie zdążyliśmy nawet sięgnąć do naszych zapasów, gdy z głośnym gwizdem lokomotywy i w kłębach skłębionej pary stanęliśmy na dworcu lwowskim. Po dwugodzinnym postoju — jazda dalej.

Ranitko, o godzinie 5,40 dnia 14 listopada — zajechaliśmy na dworzec krakowski.

Miasto spało. — W głębokiej ciszy, wyglądało jak obraz z bajki: tu wieżyczki, tam kopuły, dalej znów strzeliste gmachy oplecione wspaniałym wieńcem drzew i krzewów — a wszystko, tonące w gęstej mgle, — wyglądało, jakby na miasto czarodziejska ręka zarzuciła welon z delikatnej tkaniny.

Spoglądam na twarze towarzyszy wycieczki i widzę ich szeroko otwarte oczy, patrzące z zaciekawieniem na nowe otoczenie.

Zakwaterowaliśmy się w koszarach 12 p. p. Po śniadaniu, spod pomnika, wzniesionego kosztem Paderewskiego dla chwały zwycięstwa pod Grunwaldem, ruszyliśmy na „podbój” miasta. Przez Bramę Florjańską i takąż ulicę doszliśmy do Rynku. Mgła opadła i oto Kraków ukazał się nam w całej swej dostojnej krasie. Przed nami strzelała w niebo dwiema smukłymi wieżami świątynia Marjacka; stylu — sławne Sukiennice, które mimo swego ogromu, zdążyły się nikiąć w olbrzymim obszarze Rynku. Przed Sukiennicami, piękny pomnik Mickiewicza z symbolicznymi postaciami (Nauka, Cnota, Męstwo, Poezja). Około 10 rano ruszyliśmy na Wawel. O wspaniałości katedry i zamku — pisać nie będę ze względu na szczupłość miejsca. Wywarła ona jednak na zwiedzających wrażenie wprost potężne. Po wysłuchaniu mszy św. odprawionej przez naszego ks. kapelana, kpt. Świącieckiego, zeszedliśmy do krypty. Tam, w szklanej trumnie, oprawionej w srebro leżały zwłoki Tego, który wskrzesił Polskę — zwłoki najszlachetniejszego człowieka ostatnich czasów — zwłoki Marszałka J. Piłsudskiego. Długo patrzyliśmy w tę twarz, pełną powagi i dostojęstwa a dusze nasze pełne były żalu i smutku. Odchodząc — wzrok mój zatrzymał się na twarzy naszego Pułkownika — po twarzy tej, skamieniałej w bezruchu lały się łzy. Za wzrokiem moim poszedł wzrok kolegów. Widok tych łez — zastąpił nam wszystkie wzniósłe apele do naszych serc. Widok tych łez, wzbudził w nas niezłomne postanowienie trwania przy idei ś. p. Marszałka, trwania przy tych, którzy ideę tę kontynuują.

Po zwiedzeniu katedry i komnat królewskich, których wspaniałość przeszła nasze najsmielsze wyobrażenia, rozszliśmy się na obiad.

Godzina 14,30 — zbiórka i wyjazd autobusami miejskimi na Sowiniec. 10 minut jazdy i jesteśmy u stóp wzgórza, pokrytego gęstym lasem.

Lasek Wolski. Idziemy starannie utrzymanymi ścieżkami pod górę — otoczeni poważnymi, starymi drzewami, mając pod nogami puszysty dywan utkany ze złotych liści jesieni. Wkrótce osiągamy szczyt. Naszym zaciekawionym oczom ukazuje się potężna podstawa kopca — starannie wykopana, której stoki pokryte są świeżą zielenią: — z boku wielka ilość tacek i łopat. Żywo ściągamy płaszcze i do roboty. Napełniamy taczki ziemią i jazda na górę. Piękny i wzruszający był to widok: Pułkownik obok strzelca, major obok kaprała, ksiądz kapelan obok sierżanta, wszyscy w zgodnym rytmie, przy jednostajnym zgrzycie tacek — pchają taczki z ziemią ku górze, dodając do pracy całego społeczeństwa,



Przy czyszczeniu broni

fot. Dydyński

częstkę pracy swojej. Kto skończył, zaczyna na nowo — nikt nie liczy ile zwiózł tacek — pot kroplisty widać na twarzach, widać że żołnierze ci, swą drobną pracą — chcą wynagrodzić trudy Marszałka, pragną by kopiec na Jego chwałę usypany był jaknajwyższy. — Dopiero mrok położył kres naszej pracy.

Na drugi dzień — zwiedzaliśmy zabytki Krakowa — głęboko przemówiły do naszych serc potężne mury starych świątyń oraz piękne wnętrza wykonane przez artystów tej miary, co: Matejko, Wyspiański, Mehoffer.

Po obiedzie — zwiedziliśmy perłę polskich kopalń soli — Wieliczkę. Wieczorem odjazd do Lwowa. Stolicę kresową powitaliśmy o 7 rano. Ruszyliśmy tramwajami na kopiec Unji Lubelskiej. Na szczycie, oczom naszym przedstawił się calusienki Lwów w swej dostojnej postaci. Pojęc dusze cudownym widokiem, wysłuchaliśmy historii Lwowa, opowiedanej przez przewodnika. Następnie zwiedzaliśmy najważniejsze zabytki Lwowa — między innymi cmentarz młodych bohaterów Obróńców Lwowa na Łyczakowie.

Z drzeniem w duszy i ze łzami w oczach czytaliśmy nazwiska 12—13 letnich bojowników, poległych w zmaganiu z najeźdźcą. Wśród wielu, wielu mogił, odnaleźliśmy liczne mogiły naszych towarzyszy pułkowych. Po odmówieniu krótkiej modlitwy za dusze poległych, opuściliśmy miejsce spoczynku wiecznego ludzi, otoczonych aureolą bohaterstwa i sławy.

Po obiedzie — w dalszym ciągu zwiedzaliśmy miasto, przyczem niezatarte wrażenie w naszej wyobraźni pozostawiła słynna „Panorama Raclawicka”.



W czasie pogrzebu rekruta

fot. Żak

O 17,15 w siadamy do „expressu” i o 23,11 lądujemy w Lucku.

Długo w noc nie spali koledzy, słuchając w głębokiej ciszy szeptu kolegów, opowiadających im różne ciekawe rzeczy i dzielących się z nimi wrażeniami z tej pięknej wycieczki.

Luck

strz. z cenz. Z. Jamiga.

FRONTEM DO STANISŁAWOWA!

Daleko za miastem, na południowych peryferiach, graniczących z zaimprovizowanym lotniskiem na linii Warszawa — Lwów — Czerniowce (ściśle na „Dąbrowie”, placu ćwiczeń i codziennej „doli i niedoli” strzelca z cenzusem) ulokowały się trzy bloki potężnych murów, dawnych kazamat twierdzy wojskowej. Potężne trzypiętrowe gmachy, zmienione obecnie na koszary wojskowe, z których jeden przeznaczony dla Dywizyjnego Kursu Podchor. Rez. Piech. — ożywione duchem młodego pokolenia, tkwią tu mocno, jak fort obronny na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej.

Niejedno pokolenie i nie jeden tysiąc ludzi przeżyło tu twardą, lecz zaszczytną i kształcącą charakter szkołę życia, zwaną popularnie czynną służbą wojskową. Wychożą stąd rok rocznie nowe zastępy wyszkolonych fachowo obrońców Państwa — podchorążowie, „narybek” ideowców-oficerów rezerwy. A mury wciąż tkwią nieruchomo i surowością swej struktury wrzynają się w dusze nasze, zmieniając nas powoli, systematycznie, w świadomych swego zadania żołnierzy. Niejednego, wstępującego w nie poraz pierwszy uderzyła ta ostrość i majestatyczna surowość zewnętrzna. Może czuł się „nieswojo” w pierwszych tygodniach służby — rychło się jednak przekonał, że to nowe życie żołnierza ma swój specjalny urok, obfituje w pełnię momentów tak pięknych i wzniosłych, że przetrwają długo w naszej świadomości, rozbudzając w nas chwile wspólnie przeżyte w gronie kolegów.

Nieraz powrócimy myślą w te drogie, jakby w skałe wykute, mury koszarowe, pełne nieraz humoru, tupetu, werwy młodzieńczej i radości! Odżyją w nas „kawały” z pierwszych tygodni służby, popełniane ot tak... nie ze złej woli, lecz z młodzieńczej fantazji. Po latach, przeżycia te może zwiędną, może stracą swą bezpośrednią świeżość i jędrność — ale gdy nas pochwyca wspomnieniami, w chwilach zadumy odtwarzać je będziemy ze wzruszeniem i radością w sercu.

Blok Podchorążówki. Jeden z obrządków codziennego życia. Jesiennych, szary świt zawiśł na białych oknach sali Nr. 31... Godzina piąta minut piętnaście...



Saperskie rozkosze

Zupełna cisza... gdzieś daleko na szarzącym horyzoncie, z ponad sinawego pasma niewyraźnych gór, światła zaczęła blade zorza... ale zmęczone oko dostrzegło zaledwie jakieś odległe kożuchy ścielących się mgieł, ponad którymi zarysowały się nieznacznie białe-seledynowe pasy smutnego nieba. Wszystko to tchnęło przejmującym chłodem; musiało też być na dworze zimno, bo na ogołoconych z liści drzewach bielil się szron. Godzina piąta, minut trzydzieści. Czyż może być coś przyjemniejszego w wojsku wogóle, jak to właśnie, że jest jeszcze pół godziny przed pobudką — kiedy myśl zatrzymuje się na spoconych szybach, wsiąka w krople pary na szkle i opada wraz z nimi po ramach bezmysłności.

A oto, już jest po pobudce! Zaznaczam tylko, że jest dość prozaiczna, i „pierońsko” pośpieszna. Jeden z kolegów śpiący vis á vis pieca, jak sam twierdzi z filozofją, czy filologją „prawie skończoną”, i długą praktyką, a jak ja skonstatowałam, z długim... językiem i wyglądającymi czarno wąsikami, wywodzi dość często długie monologi na temat pobudki, z konkluzji zaś, dochodzi zawsze do przekonania, że sposób budzenia powinien być bardziej subtelny i odpowiadający jego ustrojowi psychicznemu. W konkursie zaś, rozpisany na temat sposobu przeprowadzania pobudki, dał tego rodzaju odpowiedź: „Strzelec, chociażby nawet z cenzusem, w stanie niepoczytalności (we śnie) jest nietykalny, wobec tego pobudka może nastąpić dopiero wtedy, gdy wszyscy się zbudzą”.

Naturalnie, że u nas do wszystkiego służy gwizdek. W parę minut po pobudce każdy stoi na zbiórce. Wprawdzie „na wykończeniu” filolog twierdzi, że absolutnie za szybko się ruszamy, a nasze buty za często i zbyt gorliwie czyszczone, no i są odrobinę za ciężkie — a poszczególne ćwiczenia, zwłaszcza popołudniowe hartują jedynie język,



Apetyty nam służą

fol. Sampoliński

by nie kłąć (głośno)... jednak powoli i on godzi się z Iosem.

— No, ociec, filozof — pada apostrofa pocziwego instruktora — głowa do góry, cały korpus ciała nieruchomo, ręce w przegubie wyprostowane, „okcie przy siebie”. Ćwiczy!... ćwiczy!... Ja tu nie jestem dla „pro formy”.

Po gonitwach korytarzowych i modlitwie jest śniadanie. Rozumie się, że nie ma śniadania bez „kubków”, z nich pijemy płyn życiodajny, który z rozkazu, a raczej przez kurtuazję nazywamy... kawą.

Do ćwiczeń wdziewamy t. zw. „strój polowy”. Jest to kombinacja karabina z cenzusem, strzelca z tornistrem i kocem, chlebaka z manierką i całego szeregu mniej lub więcej niezbędnych części oporządzenia.

Zwykle idziemy na ćwiczenia mar-

fol. Borchólski

szem podróznym; a więc co jakiś czas (w praktyce dość często) zatrzymując się, miażdżąc herkulesowym uderzeniem stopy, zamrożoną skorupę jesienno-błota. Dość często śpiewamy, mówią że na dwa głosy, ja jednak stwierdziłem, że na sześć i to nienazwanych. Mam wrażenie, że tak ćwiczenia, jak i marsze odbywałyby się względnie możliwie, gdyby nie to, że za często przeszkadzają nam lotnicy. Wprawdzie w Stanisławowie ani jeden samolot nie jest stacjonowany, instruktorzy jednak są przekonani o tem, że w powietrzu ciągle szubują samoloty, i to... nieprzyjacielskie.

Rezultat — wiadomy.

Z „lekkim” drżeniem serca i łydek, oraz mokrą koszulą wracamy do koszar, gdzie nas czeka.. obiad. Apetyty mamy godne pozazdroszczenia, a potrawy smaczne i szybko strawne. Dość często pojawiają się na półmiskach jarzyny z rodziny „strączkowatych” czy jak biologowie twierdzą „motylkowatych”. Zresztą mniejsza o nazwę — daleko



„Nóżki na stół”

fol. Strożak

ważniejsze jest ich wybitnie bojowo-gazowe działanie. Wszelkie kombinacje żołądkowe paraliżuje trzecie danie w postaci płynu, słabo spokrewnionego z czarną kawą, a czasem realniejsze — coś w rodzaju gumy do żucia.

Wreszcie następują popołudniowe ćwiczenia, które nazwałbym gimnastyką pewnych części ciała: lewego oka prawego kciuka, ręki „w przegubie”, „okci przy siebie” a szczególnie mięśni pośladkowych i „pięty Achilleasa”.

(Z CYKLU: SZKICE KOŃCEM SZABLI)

SPORTSMANKA I ANGLIK

W epoce szekspirowskiej imię Julja należało do najbardziej romantycznych i tem samem interesujących. Nieodownie uzupełniano je osobą Romea, sztyletem, trucizną, wszelkimi akcesorjami niezbędnymi do stworzenia nastroju. A dzisiaj? Dzisiaj „Julja” wywołuje najwyżej odrobinę współczucia dla swej właścicielki.

Panna Julja Lentzke miała tylko jeden, jedyny kłopot spowodowany właśnie swem niewdzięcznym imieniem. Wszystkie zdrobnienia zdradzały szekspirowskie pochodzenie i chyba może — Jola, ale to znów wkroczeniem w niezaprzeczone prawa Janty. Poza tem panna — powiedzmy — Jola była



I znów apel mundurowy

fol. Kaczmarek

Dzień kończy się rozkazem. Główną rolę odgrywa tu pan szef, o mrozącym ciałem „cenzusa” spojrzeniu. Głos wyrobiony, donośny, wyposażony w obszerny repertuar koszarowych wyrazów. Ma on naturalnie taką listę, jak niezapomniany Vlasta Burian w roli Feldmarszałka: trzy razy dziennie zrobić zbiórkę... zhustać służbowego... przypomnieć o bałaganie, panującym na izbach, a posiadającym znane w wojsku określenie.

Mimo wszystko lubimy, t. zn. chciałem powiedzieć będziemy lubić (na urlopie) tych, co nam urządzają biegi długodystansowe po korytarzach.

Co wieczór pranie i co niedzielę (ach te zmarowane niedziele!) są t. zw. „apele mundurowe”. Regulaminowym nakazem muszą one wypaść „pod psem z czarnym ogonem”. Na bucie nie może być odrobiny błota.

Jeśli ktoś wyrzcił się, że w Stanisławowie brodzi się po kolana w błocie, to grubo się pomylił... Najwyżej do kostek... w centrum zaś miasta nawet jest 200 metrów asfaltu! Więc dlaczego zaostrzać konflikt międzymiastowy — skoro jeszcze nie jest tak źle, jak mogłoby być?...

Czy będzie lepiej — o tem dowiecie się z listu „cenzusa na urlopie”.

strz. z cenz. S. K.

Stanisławów

rodzące się uwielbienie, albo podziw dla panny Joli, ale zasadniczo nie kolidowało z żadnym z regulaminów i instrukcyj towarzyskich.

Po godzinie Jurek zjawił się.

Panna Jola zajęta niezwykle interesującą rozmową z jakimś szwoleżerem uśmiechnęła się, pokazując z wyrachowaniem najrówniejsze i najbielsze zęby w Warszawie.

— Naprawdę mi przykro panie... panie...

Jerzy patrzył się obojętnym, typowo angielskim wzrokiem.

— Jerzy Pobóg — Żuczyński, podchorąży ar...

— Panie Jurku, ale pan porucznik mnie prosił, zato nas...

Jerzy według wszelkiego prawdopodobieństwa uklonił się, w każdym razie obecnie tańczył z panną Wandą.

Szwoleżer bardzo wytwornie zażegnał niemiłą sytuację, a panna Jola chwilowo nie zdawała sobie sprawy z imperytynencji.

Siła przyzwyczajenia. Była w życiu na dwudziestu, może na dwudziestu jeden balach, ale na każdym musiała wysłuchać przynajmniej dwóch oświadczeń. Prowokowała je sama.

To bardzo miły sport. Oczy otoczenia mówiły same za siebie.

Dlaczego nie dodać im trochę odwagi i jeszcze raz usłyszeć, że...

— Ja wiem, że to nie licuje z mundurem i z XX wiekiem ale muszę, jak poeta romantyczny mówić tylko o pani oczach, o pani ustach, o twoich włosach, Jolu...

— Biały walczyk, panie proszą panów!

Jerzy w niszy okna palił papierosa.

— Pan pozwoli, panie Jurku?

— Nie spodziewałem się takiego zaszczytu — zgniótł papierosa na popielniczkę — panno... Juljo, ale niestety mam zamówiony ten taniec, służę następnym.

Kazik Podhorodecki, mimowolny świadek tej sceny dopiero po kilkunastu kolejkach w barze doszedł do wniosku, że ostatecznie może Jerzemu nie wydawać sprawy honorowej, ale to tylko dlatego, że jeszcze nie zna osobiście Joli.

A jednak Jola po walcu przypominała Jerzemu o obietnicy. Jest to przynajmniej dziwne. Ale cel uświęca środki. Musiała zemścić się. Musiała. To tak jak przeszkoda, na której pierwszy raz się zrukuje. Potem jest najłatwiejszą.

— Pan oczywiście będzie jutro u mnie. Taki mały „five”.

To znaczy, że kończy się o piątej.

— Pani wybaczy, ale przecież nie jestem zaproszony.

— Właśnie pana zaprosiłam.

— Dziękuję, będę.

Trudno to należy do tradycji, że podchorążowie w czasie urlopu gwiazdkowego zdejmują szasery tylko przy... wyjeździe do szkoły.

Zresztą „five” u państwa Lentzów należał do takich, które zostawiają tylko i wyłącznie miłe wspomnienia. Dyrektorstwo zapraszało nieprawdopodobną ilość młodych ludzi ze względu na jedynaczkę, opuszczającą w tym roku, po długich cierpieniach maturalnych, jeden z przybytków wiedzy średniej.

Rej wdzili podchorążowie. Partja bardzo kiepska, ale zato dużo werwy i humoru. Bez dalszych zobowiązań.

Jerzy spóźnił się. Nie uważał za odpowiednie tłumaczyć się zresztą przy jego angielskiej szczęce takie rzeczy uchodziły. Poza to był bardzo wytworny i w miarę udzielający się. Potrafił imponować. Dyrektor Lentz zauważył szczerze.

— Pan powinien koniecznie nosić monokl. Jest jakby stworzony dla pańskiej, albiońskiej urody.

— Nośm obecnie jestem podchorążym. Podejrzewają mnie o dziecinną fanfaronadę. Potem będę nosił.

Tylko panna Jola.

— Wiem Irko, on jest poprostu źle wychowany. Wcale ze mną nie tańczył.

— Przecież sama widziałam...

— No tak, tak, ale tylko dwa razy.

— To właśnie świadczy o wybitnej znajomości savoir vivre'u.

— Żeby ze mną? Dwa razy? No wiesz?

— Jesteś śmieszna, zarozumiała...

— Nie znoszę go. Ojej — goniła sekundę wzrokiem za wskazówkami zegara — Bardzo cię przepraszam.

Czekała jeszcze kilka minut na siedemnastkę o 5-tej miała się spotkać z Jerzym w „Atlantieu”.

Weszła do hallu minutę po piątej. Jerzego nie było.

O wpół do szóstej — bez zmian.

Z podziwu godną rezygnacją stwierdziła, że ponosi całą winę tylko ona.

Króciutki urlop długimi i nieprzyzwoicie szybkimi krokami zbliżał się do końca.

Został jeszcze Nowy Rok.

Jola wbrew zwyczajowi zadzwoniła do Jerzego.

— Dzieńdobry Panu. Będzie pan dzisiaj w Jedyńce?

— Nie w Jacht Klubie.

— O... szkoda. Przypuszczam, że 36 rok byłby dużo sympatyczniejszy i względniejszy gdybyśmy go powitali razem.

— Nie sądzę.

— Ale proszę pamiętać... O dwunastej wypić moje zdrowie i zadzwonić do mnie. Dobrze?

— Jeżeli nie zapomnę...

— Ech...

Nie zapomniał. Myślał o tem cały dzień i noc, ale... zadzwonił.

Zresztą po kilkunastu godzinach jechał już na dworzec. Na widok Joli, przypadkowo przechodzącej przez Marszałkowską, dolna szczęka Jerzego nabrała wszystkich cech angielskich.

— Bardzo przepraszam, że się z panią nie pożegnałem...

— Nic nie szkodzi. Naprawił to zbieg okoliczności...

— Dajmy na to.

— Nie rozumiem.

— Przypuśćmy, że to był zbieg okoliczności.

Na peronie pulsował gorączkowo tłum, w którym przeważały mundury, odpływające ze stolicy po świętach.

Jola podeszła do Jerzego tak blisko, że dotykała go prawie ciałem w oczach miała łyzy. Wcale efektowne.

— Przestań! poco to robisz. Jesteś taki wstrętny... podły...

— Nie rozumiem pani...

Jurku, przecież wszystko ma swoje granice... każda komedja musi się skończyć... to jest ponad moje siły... bawisz się mną...

— Poprostu zamieniliśmy role...

— Pisz Jurku koniecznie, dużo... dobrze?

— Dobrze, dobrze... tylko nie zdradzaj mnie — roześmiał się.

Potrząsnęła bez słowa głową.

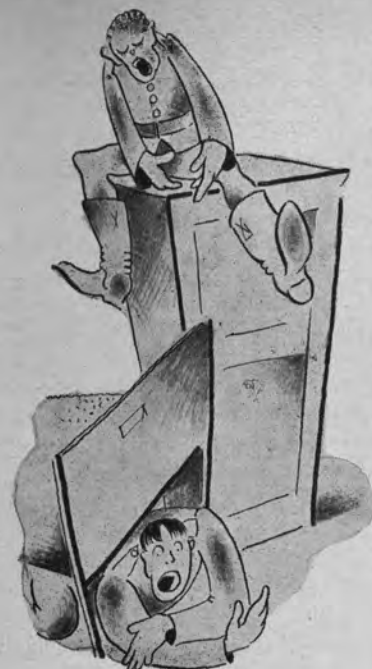
Ucałował obie ręce i wskoczył do wagonu.

Ale z okna wychylił się dopiero, gdy pociąg przejechał kilka metrów.

Zawsze był Anglikiem.

pchor. Zbigniew Zajęczkiewicz.

S. P. Art. Toruń.



Humor, werwa, dziarska mina!
Do tradycji to należy,
Gdy rok szkolny się zaczyna,
Żądać tego od „młodzieży”.



Super-stylu w jeździe żąda
Starych „baćków” ród zajadły,
Więc na stołkach, skrycie, w kątach
Ćwiczą wściekle. Zapal djabli.

Z W Y C I Ę S T W O K O B I E T Y

Siedzieliśmy zrozpaczeni. Sala jadalna o tej porze była już pusta. W powietrzu unosił się jeszcze zapach potraw pomieszany z dymem papierosowym. Na stołach stały opróżnione talerze. Leżały porzucane skórki pomarańczowe i okruchy chleba.

Barnaba wyciągnął swoje długie, słynne na całą szkołę — nogi, w ten sposób, że przechodząc pod naszym stolikiem, omijały lekceważąco moje krzesło i sięgały poza nie do połowy sąsiedniego stolika. Spoglądał ponuro w okno i starannie rozgryzał ustnik.

Ja siedziałem zgięty we dwoje i machinalnie kręciłem gałki z chleba. Za oknami padał śnieg dużymi, cichymi płatami.

— Co zrobimy? — zapytałem nieśmiało.

Barnaba wpił długie paluchy w wiecznie skołtunione włosy i coś zajęczał cicho i przeciągle.

— Może zwiąć? — podałem projekt.

— Wydziedziczy! — szepnął.

— Może zachorować na tyfus... albo co?

— Pozna się... cholera.

— No to co zrobimy? — zapytałem ponownie.



Kiedy Starszy Rocznik żąda,
Niema rzeczy niemożliwych.
Masz dziewice, lub masz orszak,
Miał rycerskich ciał straszliwych.

pchor. OTWINOWSKI BARTŁOMIEJ.

Toruń S. P. Art.

nego siostrzana, to zrobi piekło, jakiego świat nie widział i zniszczy w zarodku te wszelkie porwy barnabowe.

— Pokaż no depeszę — zaproponowałem.

„Ukochany przyjeżdżam 19” — figurowało zwięzłe i wyraźnie.

— Widzisz — oświadczyłem — gdybyś z ciotką nie romansował, nie byłoby teraz kłopotu... kazirodcze stosunki zawsze się mszczą.

Barnaba spojrział spodoba.

— Trzech mężów pochowała cholera a czwarty ledwie złpie — powiadomił mnie z samobójczym uśmiechem.

— Fajny babsztyl musi być? — rzuciłem w formie zapytania.

— Fajny — potwierdził z rezygnacją — sam się przekonasz. Od ognia, powietrza, wojny i takiej zarazy ucho- wają nas Panie.

Po chwili milczenia dodał:

— Ach, pół życia oddałbym i lewą rękę na dodatek, żeby się chciała w tobie zakochać.

— Czy ona musi się kochać — poinformowałem się.

— Musi — stwierdził z przekonaniem Barnaba — od urodzenia nie robi, tylko się ciągle kocha.

— Trudno — oświadczyłem dość niepewnie — poświęcę się dla ciebie i dla twojej miłości — jeśli babsztyl z miejsca nie przykatrupi, będę ją uwodził. — Barnaba bąknęła coś w rodzaju „warjat”, potem sięgnęła długą łapą przez całą szerokość stołu i w milczeniu uściśniła mi dłoń.

Kończyliśmy rozmowę już po drodze. Wraz ze słowami wylatywały z ust kłęby pary. Powietrze było czyste i mroźne. Śnieg skrzypiał pod stopami. Góry na tle granatowego nieba wyglądały, jak grzbiet olbrzymiego smoka usiany złotymi kropkami gwiazd. Na małej stacji ujawiła się gromada narciarzy, obciążonych plecakami i powiazanymi dechami. Na ścianie wisiały barwne plakaty dla cudzoziemskich podróżników: procesja w Łowiczu, kopalnie na Śląsku, toruńskie śpichrze i myśliwy w futrzanym kubraku, pochylony nad zabitym rysiem. Pachniało młodością, świeżością, ruchem i jakąś wspaniałą, niespodziewaną, narciarską przygodą. Swoją drogą ciekaw byłem tej ciotki. Wydawało mi się, że Barnaba jednak trochę przesadza, od- sądzając ją od wszystkich cnót.

Zdała ukazały się dwa światelka białe i jedno zielone. Mały, oszroniony i zasapany parowozik wtoczył się powoli na peron ciągnąc za sobą trzy również małe, żółte wagoniki. Spojrzałem na Barnabę. Stracił jakoś całą swoją wyniosłość i podobny był do wystraszonego znaku zapytania. Podobieństwo to podkreślały jeszcze długie i obszerne narciarskie spodnie, wygięte w tej chwili niezdarnie na kolanach.

Ciotka „okazała się być” we wspaniałym fokowym futrze i nieskromnym czerwonym toczku na głowie. Z przenikliwym okrzykiem „Babuuuuu!!!” padła w ramiona barnabowe, a że wagę miała zdecydowanie ciężką, tak na oko, sto kilo jak obciąż, to też biedny Barnaba zgiął się pod drogi ciężarem we czworo i podobny był już teraz do zmiętej i wyrzuconej za okno koperty. Na mnie spojrziała w miarę lekceważąco i w miarę obojętnie, podając do ucałowania rękę w długiej, skórzanej rękawiczce. Obejrzałem pośpiesznie tę okazałą tuszę. Twarz miała nawet nienajgorszą, co prawda „rozżyła”, ale dość mało zniszczoną. Ładne usta i wielkie, czarne oczy.

Dwóch tragarzy ustawiło przed wagonem górę jej walizek, jakichś pudełek, pewnie z kapelusami i na to wszystko, o zgrozo, piękne hikorowe narty, z cieniutkimi, czerwonymi „tonkiuami”.

No, no — pomyślałem — będzie jutro przedstawienie.

Zacząła się śpieszyć, zapytywać, opowiadać ni w pięć ni w dziewięć, naraz o piętnastu najrozmaitszych sprawach — to też od razu się dowiedziałem, jak zdrowie jej męża, a Barnabowego wuja i psa „Muśka” i kota „Mickey Mouse’a” i że w kraju kryzys, a lokatorzy lekceważą sobie komorne, że niewiadomo co będzie bo od tych abisyńczyków będzie wojna światowa i nas, jako podchorążych od razu posła na pomoc Anglii.

— Ach, pewnie znów was tam męczą. Mój Babuuus kochany!.. schudł znów na szczapę. Żle odżywiają... pewnie... bo muszą was hartować, bo żołnierz musi być wytrzymały, żeby mógł Ojczyznę dobrze bronić. Wyobraźcie sobie miałam taką przygodę: Jechał taki pan... taki malutki... z czarniutkimi wąsikami. Och, Boże, brak jednej walizki!

Zrobił się krzyk, ale walizka zaraz się znalazła. Bałem się patrzeć na Barnabę — wyglądał, jakby go pies wściekły ugryzł.

Po bardzo wielkim zamęcie dobrnęliśmy wreszcie do pensjonatu i po zainstalowaniu ciotki w przestronnym pokoju, zostaliśmy nareszcie sami.

— No i co powiesz? — zapytał Barnaba przez zaciśnięte zęby.

— No cóż, ciotka jest pierwszorzędną kobietą. Trochę zagruba, trochę zastara, trochę zawiele, jak na jedną osobę, krzykliwa i nielogiczna, ale pozatem bez zarzutu. Ubóstwiam takie czcigodne osoby.

Barnaba się skrzywił, jakby połknął coś gorzkiego i potem zaczął gorączkowo szeptać:

— Ty jej jeszcze nie znasz, ale kiedy poznasz, będziesz chciał niezwłocznie umrzeć, albo zwarjować, aby nie rozumieć co mówi. Widziałeś jak się wybrała do tej dziury — dwadzieścia walizek, balowe toalety i kapelusze z rajarami. Za tydzień kończy się nam urlop... będzie, oczywiście siedziała kamieniem i jeśli się dowie o moich uczuciach do Marysi — no to marne jej i moje widoki, a w każdym razie ze swobody i spokoju nici.

— Może ją zabić? — poddałem dość lekką myśl.

Barnaba już się rozebrał i właśnie kładł się do łóżka. Na moje słowa stojąc z koldrą w garści, wpadł jakby w osłupienie. Na twarzy jego począł się rozlewać wyraz wielkiej błogości.

— Wiesz — powiedział — nigdy mi to do głowy nie przyszło, ale to jest bardzo byczy pomysł.

Przyznam się, że trochę zdrętwiałem. Nie podejrzewałem Barnabę o tak zdecydowanie zbrodnicze skłonności.

— Możesz ty już naprawdę zwarjować — zapytałem — nie znasz się na żartach, czy jak u licha?

Barnaba nie odpowiedział. Ciągle trwał w zamyśleniu, a potem zaczął mówić z dużą dozą patosu.

— Takie świetne warunki... brak świadków... tyle śniegu... niktby ciotki nie odszukał do samej wiosny... zresztą nie mówię, żeby tak naprawdę, ale tak... trochę na niby...

— Jakto na niby? — zapytałem zdumiony.

— No, tak... trochę uszkodzić, żeby odechciało się jej używania sportów wraz z nami... albo, może porządnie nastrościć, żeby związała.

— Barnaba — odrzekłem na to poważnie — mam bardzo fajny pomysł, który nas od ciotki powinien uwolnić. Czy mi ufasz?

— Ufam ci, albowiem nie rozumiem.

Wtajemniczyłem go wówczas w mój plan i poszliśmy spać uśmiechnięci, jak niewinne dzieci.

Nazajutrz wyciągnęliśmy ciotkę z łóżka skoro świt. Przy bliższym obejrzeniu okazała się despotyczną i wymagającą kobietą. Przedewszystkiem wszystko było nie tak i ze wszystkiego była niezadowolona, a następnie ciągle pragnę-

ła jakichś usług — to rozpakować, to wody przynieść, to jakieś żelazka zagrać, to po paczki skoczyć, to dechy smarować. Doskonale. Wytrzymaliśmy tak do śniadania, przyczem wyłaziłem ze skóry, aby jej dogodzić, aż wreszcie powiedziała do Barnaby:

— Wiesz ten twój przyjaciel, to bardzo miły chłopak, A Barnaba na to:

— Och, ciotunia go jeszcze nie zna. To największy uwodziciel z całej naszej szkoły. Wszystkie kobiety za nim szaleją.

Wobec tego, że jestem wstydlivy, musiałem na te słowa pokryć się rumieńcami po czubek włosów, a ciotka przydługo na mnie spojrziała i powiedziała, oglądając mnie, jak rzecz jakąś na wystawie:

Co ty powiesz?... wcale nie widać... a następnie proszę cię, abyś nie nazywał mnie ciotunią, tylko po imieniu, zвычайnie Felą i już. Pamiętaj, że jeszcze nie mam skończonych czterdziestu lat... zresztą, ty mi się więcej podobasz... taki jesteś męski... wąski w talji... szeroki w ramionach... lubię takich.

Rzuciła mu długie i przymgłone spojrzenie, co musiało pozostawać w jakimś związku z niespodziewanym zafalowaniem wszelakich wypukłości jej potężnego ciała.

Sądząc z powyższego, musiała być istotnie bardzo zajęta Barnabą, co ten traktował z zupełnie widoczną odrazą, a ja znów z prawdziwą ulgą skonstatowałem, że nie mam tutaj żadnych szans.

Przy śniadaniu, kiedy się okazało, że wybieramy się na Czarną Górę, zdecydowała bardzo arbitralnie, że odejdziemy tą wycieczką we troje. Coprawda przedtem, ogromnie przebiegle odmalowałem trasę, jako dość łatwą i niesłychanie malowniczą.

— Niech Fela weźmie jednak pod uwagę — oświadczył Barnaba bardzo lojalnie — że miejscami szlak jest nieco ciężki. W jednym takim wąskim miejscu trzeba się nawet ubezpieczać linami.

— Och, to jest głupstwo — zakomunikowała z wrodzoną pewnością siebie — chwalić Boga, jeszcze się nigdy w życiu niczego nie bałam.

Swoją drogą, biorąc pod uwagę jej tuszę, nie mogłem sobie narciarskiego kunsztu w jej wykonaniu wyobrazić. Coprawda, bywają cudy na świecie, ale nasz pomysł polegał na tem, aby eud nie mógł się zdarzyć.

Śnieg był lekkimi firnami pokryty, ale bardzo nośny, to też na cienkiej warstwie zamrożonego klistru doskonale się jechało. Od razu jednak wynikały trudności z ciotką. Przedewszystkiem ciągle gadała, co wśród majestatycznej ciszy zamysłonych i jakby w rozglądaniu własnego piękna zatopionych gór, było, swojego rodzaju świętokradztwem; następnie o technice jeździeckiej miała bardzo nikle pojęcie. Podchodziła, co prawda, ni to czołg, ni to mastodont — dużą siłą fizyczną raczej zwalając, niż zwalczając przeszkody, przy tej sposobności jednak ztracała mnóstwo energii, to też było jasne, że przy takiej rozrzutności musi spuchnąć w niedługim czasie.

Wyglądała w swoim pięknie uszytym kostjumie narciarskim, jak jakiś kobiecy Zbyszko Cyganiewicz. Wszystko było zbyt wielkie, zbyt obfite, przytem jednak w swojej wielkości zupełnie proporcjonalne, to też pozornie niezadarnym ruchem ciotki, trudno było odmówić pewnej lekkości i jakby oryginalnego wdzięku. Jej głos również nie był pozbawiony czegoś miłego. Głęboki, piersiowy kontralt, skakał po górach, jak dźwięk ulańskiej trąbki i chociaż słowa w tej ciszy były niepotrzebne i nawet drażniące, to przecież dźwięk głosu był zupełnie przyjemny.

Właśnie ponad szczytami ukazało się słońce, zalewając rozległe połoniny przed nami ulewą skośnych, purpurowych promieni. Wśród tej purpury przebiegały drzące nitki to



Pęd zapierał nam oddech...

różowe, to złote. Od razu cienie nasze wydłużyły się prawie w nieskończoność i wraz z naszymi ruchami chygotały się obok chwiejne i jakby swej egzystencji niepewne. Dwie małe chmurki, obrzeżone złocistymi wstążkami, przesycone całe różową poświatą, wędrowały bardzo zamyślane ze wschodu na zachód.

Daleko, prawie sięgając nieba, majaczył las świerkowy, dziwnie swą niespodziewaną czerwono-zieloną barwą odbijając od linii horyzontu. Jak zwykle wśród gór, było bardzo pięknie, ale, że piękno przyrody zależy zawsze od oświetlenia, w tej chwili było znacznie piękniej, niż można to sobie wyobrazić lub opisać.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, ciotka nie zniosła w spokoju tego widoku. Zaczęła się zachwycać z siłą 100 HP motoru, a później nie znajdując już słów pojękiwała, jak ciężko raniona foka.

Nie długo to trwało, gdyż wcale nie była osobą egzaltowaną, a natomiast miała nieprzyjemny nałóg wsadzania wszędzie swoich trzech groszy. Bez żadnych wystarczających powodów wzięła się do zmiany naszego stylu.

— Kijkami źle pracujecie... trzeba wyrzucić trochę w bok i daleko przed siebie o właśnie tak... następnie krok powinien być bardziej posuwisty... utrzymany w tempie... o właśnie taki... oddychacie również źle... oddech musi być równy i głęboki... o właśnie taki.

Ilustrowała te wszystkie wskazania nadzwyczajnymi ruchami, wyrzucaniem ciała naprzód, wypinaniem piersi i odwrotnej strony medalu, dysząc przytem jak nadpsuta motorówka, a nam włosy ze zgrozy stawały dęba, gdyż byliśmy wychowanekami samego Bronka Czecha.

Nie, stanowczo taka kobieta nie powinna żyć.

Cieszyłem się na myśl, że ten wigor trwać będzie, dopóki podchodzimy po łagodnym wzniesieniu, ale niedługo zacznie się ostry stok i ciotka napowno straci na konte- nansie. Tymczasem po chwili okazało się, jak bardzo się myliłem. Ciotka brała wszelkie przeszkody terenowe, niby jakąś żywiolowa, elementarna siła, podchodząc po największych stromiznach bez żadnego opanowania lub logiki, nie uznając żadnych zakosów, ani odpoczynek. Ze wstydem muszę się przyznać, że zdystansowała nas na tem podcho- dzeniu o jakieś dobre piętnaście długości, to też, kiedy dopadliśmy szczytu — zdyszani i spoceni — ciotka oświadczyła z tryumfem:

— Aha, widzicie, miałam rację... to wszystko dlatego, że nie macie pojęcia o oddychaniu...

Spojrzeliliśmy po sobie z rozpaczą. W oczach Barnaby, paliły się ponure, niebezpieczne błyski. Czuję, że jest zdecydowany na wszystko, zwłaszcza na niesłychany despekcie, który nas przed chwilą spotkał.

Mieliśmy jeszcze niejaki nadzieje na zjazd. Może się jednak zabije i wtedy o hańbie naszej nikt się nie dowie.

Spojrzałem wdół. Olbrzymia, biała ściana, leżała przed nami, jak pochylony stół białym obrusem nakryty. Daleko, na dole wysokopienny las, wyglądał jak zielona zabawka dla dzieci, kiedy się bawia w żołnierzyków. Pochylenie było chwilami bardzo ostre do jakichś 75° dochodzące, to też na twarzy Barnaby widziałem wyraz dużej ulgi. Ja jednak poznawszy trochę ciotkę, przestałem być optymistą.

— Fela pojedzie pierwsza... prawda? — zwrócił się Barnaba uprzejmie do ciotki.

W czarnych oczach ciotki, świeciły się iskry zachwytu. Prawie z miłością spoglądała przed siebie. Przecierała narty suwając niemi szybko po śniegu i wydawała z uciechy głos podobny do rżenia.

— Pewnie... kochanie, pewnie... odpowiedziała zachłystując się słowami — kobiecie przecież należy się pierwszeństwo.

Bez żadnego uprzedzenia runęła wdół i błyskawicznie nabierając rozpędu, po chwili mknęła po skłonie z szybkością błyskawicy, a za nią, jak ogon, mknął wysoki stęp śnieżnej kurzawy.

Spojrzelśmy na siebie z pełnym oczekiwania niepokojem. Połamię sobie gnaty czy nie połamię?

Ciotka rznąła naprzód, bez pojęcia, oczywiście, o jakiegokolwiek technice zjazdowej. Rozkraczywszy szeroko nogi, wygiąwszy się ku przodowi, szusowała jak szalona wbrew wszelkim fizycznym prawdom o ruchu jednostajnie przyspieszonym. Wogóle, mam wrażenie, że jeśli chodzi o ciotkę, to nie dotyczyły jej prawa przyrodzone, ustalone przez niezmienną naturę i sformułowane, powiedzmy, przez Newtona. Raczej mogły mieć tutaj zastosowanie jakieś prawa kwantów, gdyż ciotka jak torpeda zjeżdżała, jakby pod wpływem impulsów wewnętrznych, które ciskały ją we wszystkie strony, jednak nie tak dalece, aby nareszcie mogła stracić równowagę i przy ewentualnym upadku połamać ręce i nogi.

— Strać wszelką nadzieję — szepnąłem cicho do Barnaby, kładąc mu rękę na ramieniu. Utkwił mi w pamięci wyraz wielkiej rezygnacji w jego pochmurnych oczach.

Po chwili zapomnieliśmy o świecie bożym, oddając się, z niezem nie porównanej rozkoszy zjazdu. Pęd zapierał nam oddech. Z oczów płynęły rzeźwe, rażne łzy. Po prawej i lewej stronie kłaniały się wachlarzami kłęjące świerki. Nośny śnieg kołysał szybko i jednocześnie łagodnie. Było to zapadanie się w bezmierną, bezgraniczną radość, uczucie jakby ptaka szybującego ponad ziemią.

Takie same musiała przeżywać emocje, jadąca przed nami ciotka, gdyż pędziła z rękami wzniesionymi do góry, z bełtającymi się kijkami, z szalem rozwianym, jak ogon smoka w błękitnej przestrzeni i z jakimś nieartykułowanym, pierwotnym okrzykiem, który wydierał się z jej potężnej piersi, jak pieśń tryumfu.

W pewnej chwili, już blisko lasu będąc, przy olbrzymim pędzie, straciła jednak równowagę i fiknęła koła zupełnie fantastycznego. Wywinęła w powietrzu ze trzy potężne pętle i wreszcie o 15 mtr. niżej wylądowała, podobna do skapotowanego szybowca — na brwiach i rzesach. Od upadku tego, wydawało mi się, że ugięła się ziemia i jęknęły drzewa, ale ciotka, jakby nigdy nic, kiedyś ją wreszcie wygrzebali z pod śniegu, zawołała radośnie:

— Ach, jak pysznie... chciałabym jeszcze!

Potem poleciała się otrząpać i zdjawszy rękawice wśród zupełnie zbytecznej uciechy, wyciągała pełnymi garściami śnieg z najbardziej niespodziewanych zakątków garderoby.

Barnaba patrząc na ten widok krzywił się niemiłosiernie. Muszę jednak przyznać zupełnie obiektywnie, że ciotka

w tej chwili wyglądała zupełnie do rzeczy, nawet powiedziałbym uroczo. Zarumieniona, z iskrami w oczach, dysząca siłą i zdrowiem, uśmiechnięta szeroko zdrowymi, białymi zębami — mogłaby się podobać nawet eremicie.

Staralem się tego wszystkiego nie widzieć, niszczyć, w zarodku sympatję do ciotki, aby nie zdradzi Barnaby, który spoglądał w przestrzeń groźnie, z wielką pionową zmarszczką na czole. Rozumiałem burzę, jaka się odbywa w jego sercu, gdyż na jutro miał umówioną randkę z Marysią, a wcale na to nie wyglądało, aby ciotka była skłonna zachować się obojętnie.

Spojrzała na niego nawet bardzo wnikliwie i jak zwykle z pewną afektacją w głosie, krzyknęła:

— Babbuuuu!! jedynyl... ty masz jakieś zmartwienie... coś ukrywasz przedemną?

Barnaba zachował się jak idjota i zamiast po męsku wyłożyć całą prawdę, zaczął bąkać bez sensu, że nic podobnego, że świetnie się czuje, że jest w ósmym niebie i t. d. a potem kiedyś na chwilę zostali sami, zasyczał niczym zdychający wąż:

— No, widzisz? nie mówiłem ci... nie damy tej cholerze rady... wszystko przepadło...

Niemożliwie przytem zgrzytał zębami i wygrażał się słowami, jakie tylko rzadka i w nadzwyczajnych okolicznościach były używane w naszej szkole.

Staralem się go jakoś pocieszyć, ale prawdę mówiąc nie miałem wielkiej nadziei na pomyślnie załatwienie sprawy. Jedynie co nas mogło jeszcze uratować, to jakiś niespodziewany wypadek na Czarnej Przełęczy.

Wjechaliśmy do cichego, zadumanego, jodłowego lasu. Pachniało jedliną i Bożem Narodzeniem. Padały z gałęzi delikatne, puszyste płatki śnieżne. Panowała cisza prawie absolutna, przerywana chwilami dalekimi poszumami wśród wierzchołków drzew. Zastanawiałem się, o czym też drzewa mogą szumieć nieustannie w tej ciszy, którą, nawet ciotka umiała odczuć i uszanować, nie odzywając się, przez całą leśną drogę, ani słowem.

Objęła już zdecydowanie komendę nad nami i kroczyła poważnie na czole torując szlak.

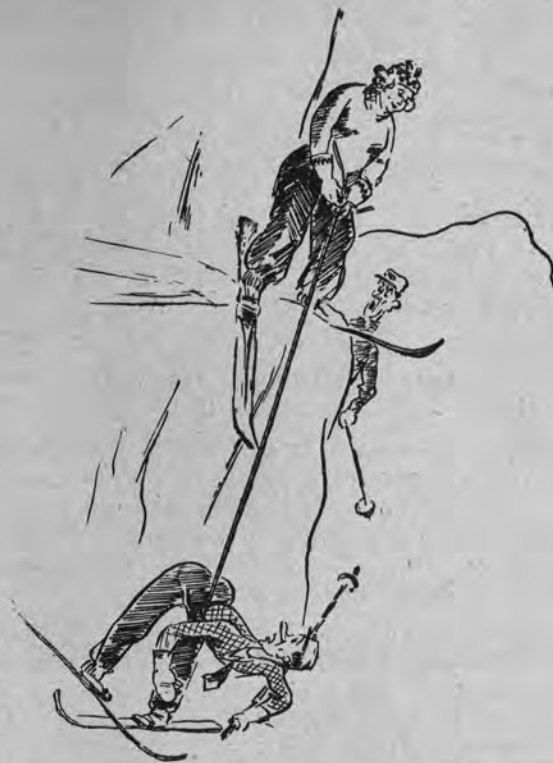
Zbliżyliśmy się nieuchronnie do Czarnej Przełęczy. Był to przesmyk pomiędzy skałami, dość, jak twierdzili nieprawni narciarze — niebezpieczny. Znaliśmy to miejsce z Barnabą doskonale i Bogiem, a prawdą nie tam niebezpiecznego nie było.

Z jednej strony wisiał potężny masyw skalny. Obok ciągnęła się wąska, ale zupełnie wystarczająca, na pomieszczenie nart — dróżka. Niżej zaś był stok bardzo naprawdę stromy, ale zupełnie nie niebezpieczny, gdyż zawsze wypełniony wielkimi złożami śnieżnymi. Gdybyśmy spadli wdół, nieby się nam nie powinno było stać, a ciotka, możeby się trochę uszkodziła lub wystraszyła i w najgorszym razie zaprzestała narciarskich wycieczek, a w najlepszym — wyjechała do domu.

Przed wstąpieniem na przełęcz, ubezpieczyliśmy się linką, z wielką ostentacją i grobowymi minami. Ciotkę, jako słabą kobietę, wzięliśmy w środek, zapowiadając o konieczności zachowania spokoju i zimnej krwi. Widać było, że jest okropnie podniecona i aż się pali do zaznania niebezpiecznej przygody. O jakimkolwiek przerażeniu lub choćby zastanowieniu, nie było, oczywiście mowy. Trzeba przyznać, że ciotka miała w sobie serce nie białogłowy, ale, jakiegoś lwa.

Ruszyliśmy zwolna i niby bardzo niepewnie. Wśród ciszy słychać było szelest nart, prujących śnieg i przyspieszony oddech ciotki.

Krajobraz był dość groźny. Z prawej strony poorana zmarszczkami rozpadlina — skała, z lewej — przepaść, zda-



wałoby się bez dna i dopiero u spodu, gdzieś daleko, ciemniejący zielenią las.

Na środku przełęczy, zgodnią z wczorajszą umową, miałem się poświęcić dla przyjaciela. Spojrzawszy w dół, z pewnym przerażeniem, obsunąłem się ze skraju dróżki i błyskawicznie zacząłem spadać. Plan przewidywał, że w ten sposób zlecimy wszyscy troje — tylko plan nie przewidywał siły ciotki. Jeszcze oczów nie zdążyłem otworzyć, kiedy już bełtałem się na linie, jak pajac na nitce, lekkowspierając się nartami o stok góry, a ciotka, ani prawie drgnawszy, utrzymując na sobie cały ciężar mojego ciała, dała się:

— Idjoto jeden... coś narobił... czekaj zaraz cię wyciągnę!

I niedługo myśląc zaczęła potężnymi chwytami skrać linkę, unosząc mię prawie w powietrzu. Jakkolwiek wszystko odbywało się z ogromną szybkością, czułem, że spalam się ze wstydu.

W tym momencie Barnaba, który stał, niby słup soli, znieruchomiał ze zdziwienia schwywszy się za głowę, z przeciągłym rykiem rzucił się w przepaść. Tutaj już ciotka nie strzymała i pociągana naszym ciężarem, zakreśliła się, jak bąk na miejscu, zatrzepotała rękami, starając się chwycić za skałę i z wraskiem podobnym do gwizdu syreny okrętowej, poleciała wdół w ślad za nami.

Spadaliśmy, koziołkując się i o siebie objając dobre 50 mtr. aż wreszcie utknęliśmy wraz z głowami w niezgłębionej górze śniegu. Wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy w naszych planach uwzględnili wagę ciotki i to, że w upadku, będzie przelatująca przez nas, jak walec parowy o ciśnieniu 100 klg. na każdą cząstkę naszej nieszczęsnej powierzchni. To też wyszliśmy na tej samobójczej przygodzie wielce poszkodowani. Barnaba miał, ak się później okazało zwichniętą nogę, a ja rękę. Ciotce, oczywiście, nic się nie stało. Wynurzywszy się ze śniegu, jak ślepy i bezmyślny bałwan śnieżny, tylko parsknęła, zaczerpnęła szeroko powietrza i z wielkim zachwytem zawołała:

— Och, jak pysznie... chciałabym jeszcze raz!

Później czempredziej wyciągnęła nas ze śniegu, wprost za kołnierze, jak szczeniaków jakich. Pomimo bólu w ręce

miałem dla niej dużo podziwu. Jeszcze mi nikt w życiu tak dalece nie zaimponował, nawet podch. Stasiak Mogiła, kiedy zjadł po pijanemu, cały szklany kieliszek. To był dopiero dzielny babsztyl!

Kiedy zobaczyła, że jesteśmy obydwaj niezłe uszkodzeni, śmiejąc się i płacząc, a nie tracąc, ani na chwilę głowy, z wprawą zawodowego chirurga ponaciągała nam gnaty i z własnego szala porobiła opatrunki.

— Ach, wy, nieznośne chłopaki — przygadywała — toście ciotkę chcieli zastraszyć... a niedoczekanie wasze... jeszcze Pan Bóg czuwa nad słabymi kobietami... fajtlapy jedne... jeszcze takiemu całemu plutonowi, jak wy dam radę...

Wśród szlochów, westchnień i uśmiechów przytulała nas do obfitego i jędrnego łona, co, przyznam się, wcale nie było przykre, potem dotaszczyła nas do lasu, a sama pognała na nartach do wsi po sanie.

Barnaba siedział na pieńku, z pokornie wtuloną głową między dłońmi.

— No, co powiesz na to wszystko? — zapytał drżącym głosem.

— Że głupi jesteś, jak cielęce nogi! — odpowiedziałem z całym przekonaniem?

— Dlaczego?

— Ślepa offermo!... przecież, jabym wolał twoją ciotkę, niż cały szwadron takich gęsi, jak ta twoja Marysia. Ciotka to jest sitwes prawdziwy, nawet w piekle nie zawiedzie... a Marysia, jakaś lala malowana.

Wcale się nie obraził, tylko westchnął, jakby mu żal było straconych złudzeń.

— Widzisz... mówiłem... — oświadczył z pokorą w głosie — że nie damy rady tej cholercy... onaby świętego przekabaciła... umarłego wskrzesiła...

Wcale tego nie żalowaliśmy. Marysia, rzecz oczywista została na koszu. Ciotka podporządkowała sobie nietylko cały pensjonat, ale nawet całą okolicę. Rządziła się przez tydzień, jak szara gęś. Kurowała nas ze słodyczą i poświęceniem iście macierzyńskim. Pomimo okropnych wad charakteru podbiła wszystkie serca, a najwięcej to chyba moje. Spędziliśmy cudownie ten miły tydzień urlopu, to też wyjeżdżałem do szkoły z sercem przebitym na wylot strzałą Amora i jeśli mam być szczery, to kocham się w ciotce do dzisiaj. Podejrzewam, że Barnaba również, jakkolwiek nie chce się do tego przyznać.

Adam Ostoja



CO CZYTAĆ?

Władysław Grabski — Idea Polski — Skład Główny w Domu Książki Polskiej. Warszawa 1935 r.

Władysław Grabski, polityk i ekonomista, b. premier i wieloletni minister skarbu wydał książkę, która wzbudziła w świecie politycznym olbrzymie zainteresowanie, tak, że w kilka tygodni po jej wyjściu z pod prasy, ukazało się już drugie jej wydanie.

Trudno nam na tem miejscu omawiać książkę o treści wybitnie politycznej, musimy tylko stwierdzić, że każdy, kto interesuje się polityką, doby dzisiejszej znajduje w niej wiele nadzwyczaj ciekawego materiału. Autor pisząc książkę wychodził z założenia „że moment zgonu Marszałka Józefa Piłsudskiego powinien stać się punktem wyjścia dla pojednania zwalczających się obozów”.

Najlepszą część książki stanowi rozdział o „dziejowym znaczeniu Marszałka Piłsudskiego dla Polski” oparty nie na ocenie uczuciowej, a na rozważaniach ściśle wyrozumowanych, na podstawie których autor dochodzi do następujących wniosków: „Wylczyłem dziedziny wojska, władzy wykonawczej, skarbu i dyplomacji, w których Marszałek Piłsudski oddał Polsce wiekopomne zasługi. Każda z jego zasług poszczególnych przemawia do duszy głęboko, razem wzięte — wzbudzają podziw niezwykły. Człowiek, który tyle zrobił dla Polski rzeczy pierwszorzędnych, trwałych i nowych w oświeceniu wieków musi być uznany za Wielkiego.

Stanisław Karpiński major-pilot. — Polskie Skrzydła w moich lotach długodystansowych. — Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa.

Lotnictwo zdobyło już sobie u nas taką pozycję, że droga z niej prowadzi tylko jedna — do całkowitego „uskrzydlenia” społeczeństwa. Szczególnie silną popularnością cieszy się lotnictwo wśród młodzieży, a modelarstwo i szybownictwo są najlepszymi praktycznymi jego pionierami. Nic więc dziwnego, że na każdych zawodach lotniczych gros publiczności to rozentuzjuszowana młodzież, która też staje się jaknajbardziej obliczającym rezerwuarem młodych „uskrzydionych” sił.

Każda książka lotnicza jest nietylko przez młodzież, ale i przez starsze pokolenie przyjmowana życzliwie i z zainteresowaniem. W tym stanie rzeczy nie trzeba chyba dodawać, że opis przeżyć lotniczych pilota tej miary, co major Karpiński, musi mieć zgóry zapewnione powodzenie. Zwłaszcza jeśli jest pisany tak żywo i barwnie, a temat jego stanowią emocjonujące długodystansowe raidy. Lot dookoła Polski „jednym skokiem”, bez lądowania, a zwłaszcza lot dookoła Europy, obfitujące w pełne grozy epizody (jak np. przelot przez mgłą spowite Alpy i omal nie katastrofa rozbicia samolotu o skały) a zwłaszcza wielki raid na przestrzeni 14.000 kilometrów odbyty w ciągu 110 godzin lotu w głąb tajemniczej Azji, do egzotycznej stolicy dalekiego Afganistanu — oto tematy ostatniej książki świetnego pilota równie swobodnie władającego piórem, co i „knyplem” sterowniczym samolotu.

Z natury rzeczy poza ciekawymi opisami o walorach turystyczno-obyczajowych, mamy w książce mjr. Karpińskiego wiele emocjonujących momentów czysto lotniczych, jak np. przelot do Stambułu w mgłę nad morzem Marmara, gdzie cała uwaga pilota musiała być skupiona, aby nie uderzyć kołami podwozia samolotu o powierzchnię fal. Zwycięska walka z żywiołymi, entuzjastycznymi skrzydłami i śmiałością w łamaniu przeszkód znajdują na kartach książki majora

Karpińskiego stuprocentowe odbicie i czynią z niej miłą i ciekawą lekturę dla czytelnika bez różnicy płci i wieku.

Trzeba tu jednocześnie podkreślić, że ostatnio Książnica-Atlas wydała szereg doskonałych książek, zrywając z wyłącznością dotychczasową drukowania wyłącznie podręczników i dzieł naukowych. Ta działalność wydawnicza na polu literackim ma już za sobą takie cenne pozycje jak „Jadą wozy z cegłą” czy „Orkę na ugorze”.

Irena Stypianka. — „Bawmy się w domu!” — Wyd. Księgarni Św. Wojciecha — Poznań, 1936.

Bawmy się w domu! Hasło niewątpliwie aktualne — tembardziej w dzisiejszych kryzysowych czasach. Wydane nakładem Księgarni Św. Wojciecha przepisy gier i zabaw towarzyskich mogą przynieść dużo korzyści w urozmaiceniu życia „szarego człowieka”. Całość obejmuje gry ruchowe na dworze, w pokoju, gry siedzące oraz gry pisemne.

Książeczka ta powinna być w pierwszym rzędzie polecana do wszelkiego rodzaju świetlic, szkół oraz organizacji. Autorka zebrała znaczną ilość przepisów gier i zabaw towarzyskich. Szkoda tylko, że niektóre z nich nie zostały zbyt jasno czytelnikom wytłumaczone.

Mg. Jan Jasiński. — „Gry i ćwiczenia terenowe”. — Wyd. Księgarni Św. Wojciecha — Poznań, 1936.

Właściwe, odpowiednie i celowe zastosowanie ćwiczeń i gier na terenie szkół powszechnych i średnich — jest zagadnieniem bardzo poważnym w wychowaniu fizycznym młodego pokolenia. Przez stałe i ciągłe trenowanie na terenach podmiejskich i wsiach będzie można doskonale przysposobić młodzież do obrony kraju. Zadanie to niełatwe — stąd wiele rad, wskazówek i informacji.

Podręcznik Mg. J. Jasińskiego, oparty na długoletnim doświadczeniu autora, powinien przynieść niewątpliwie korzyści tym wszystkim, którzy sprawami sportu wśród młodzieży szkolnej się interesują. Pierwsza część książki wskazuje nauczycielowi metodykę pracy, druga — szczegółowa — podaje opisy i zasady poszczególnych gier.

Książka bezsprzecznie jest pożyteczną. Możliwość mieć tylko żal, że zamało została zilustrowana.

Zdzisław Chrzastowski. — „Legenda Murmańska”. — Wyd. Głównej Księgarni Wojskowej. — Warszawa, 1935 r.

Autor w przemowie przedstawia swój nowy zbiór szkiców opracowanych na kanwie prawdziwych zdarzeń — jako „charakterystykę legendy murmańskiej, szmat życia w pryzmacie twórczości, pulsowanie krwi i instynktów ludzkich, tygiel ideałów, płonących jak zagwie i dzieje młodzieńczego animuszu Murmańczyków”. Legenda Murmańska, to jedna z najpiękniejszych epopei polskiego oręża. To dzieje garści ludzi, którzy przełamując niezliczone trudności i przeszkody przedzierają się przez olbrzymie przestrzenie płonącej rewolucji Rosji by hen, w Archangielsku, stworzyć oddział wojska polskiego, który postawą i męstwem zdobywa sobie szybko sławę wśród aliantów.

Obraz tego barwnego, pełnego romantyzmu życia żołnierzy polskich na Murmanie maluje nam Chrzastowski, w żywych naturalnych barwach.

W skrótach szkiców literackich przedstawia nam autor stosunki codziennego życia, egzotyczną przyrodę walki i drobne przeżycia — przedewszystkiem zaś żywych ludzi, bohaterów Murmanii od naczelnego wodza wojsk koalicyjnych gen. Ironside’a, d-cy polskiej kompanii — kpt. Sołdkowskiego, oficerów, wreszcie prostych żołnierzy. Na czoło tych postaci wysuwa się postać nieodżałowanego, przedwcześnie zmarłego poety ppor. Eugenjusza Małaczewskiego, którego nieznaną dotąd humorystyczną balladą o autorze: kpt. „Royal-Scotts” — skilla — znajdujemy w jednym ze szkiców. Książka Chrzastowskiego obok wielkiego znaczenia historycznego, jako pełny obraz „legendy murmańskiej” posiada rzeczywiście ogromne zalety literackie zarówno pod względem treści jak i formy pisarskiej, to też polecamy ją gorąco naszym czytelnikom. Na podkreślenie zasługuje bardzo estetyczna szata zewnętrzna tej książki.

Kazimierz Czachowski. — „Marja Rodziewiczówna na tle swoich powieści”. — Wydawnictwo Polskie R. Wegner — Poznań, 1935 r.

Marja Rodziewiczówna odgrywa w naszej literaturze niezwykłą rolę. Wszelakimi, prawdziwymi, nieprzeciętnie płodnym talentem pisarskim znajduje głęboki oddźwięk wśród szerokich rzesz czytelników — natomiast nie uzyskał dotąd właściwego uznania w krytyce literackiej. O autorce i jej twórczości wiemy bardzo niewiele, chociaż powieści jej cieszą się ogromną popularnością. Książka Czachowskiego wypełnia tę lukę przedstawiając twórczość Rodziewiczówny, jej rolę w literaturze, jej ideologię narodową, głęboko moralną i społeczną.

Rodziewiczówna pod względem ideologii i formy literackiej stoi na pograniczu epoki romantyzmu i pozytywizmu łącząc w swej twórczości pierwiastki obu kierunków, głosząc pozytywizm czynu i romantyzm uczucia.

Bohaterowie powieści Rodziewiczówny stali się, według Czachowskiego, pierwowzorami postaci z dzieł najznakomitszych późniejszych i współczesnych pisarzy polskich — Żeromskiego, Weysenhoffa, Kossak-Szczuckiej, Dąbrowskiej i innych.

Wielkie zasługi w literaturze położyła Rodziewiczówna opisując piękno ziemi kresowej, głosząc miłość tej ziemi i podkreślając zarówno niedolę ziemianstwa kresowego, jak i nędzę i ciemnotę wsi (Hrywda). Najpiękniejszą jej książkę „Lato leśnych ludzi”, stawia Czachowski w rzędzie najlepszych w literaturze naszej dzieł opisujących piękno przyrody. Popularność dzieł Rodziewiczówny wynika z „niezwykłej zdolności autorki do tworzenia mitów, jako zaspokojenia tęsknoty do bohaterstwa”.

Książka Czachowskiego, mimo głębokiej treści i przenikliwej krytyki literackiej, napisana jest niezwykle żywo i przystępnie. Podkreślić należy jasność układu i piękny a prosty język.

Dla czytelnika znającego powieści Rodziewiczówny książka Czachowskiego będzie kluczem do zrozumienia istotnej ich treści — dla innych gorącą zachętą do poznania wielkiej a tak niedocennej twórczości. J. S.

W. J. Locke — Szofer Triona — Powieść — Tow. Wyd. Rój — Warszawa 1936.

Blagierstwo jako wynik stanu gdy człowiek wczuwa się w swoje fantazje, kłamstwa do tego stopnia, że stają się one jego rzeczywistymi przeżyciami, jest faktem o wiele częstszym niż to się powszechnie sądzi, a jest ono w większym lub mniejszym stopniu udziałem każdego pisarza.

Wykorzystanie cudzych notatek i zapisków z przebiegu rzeczywistych zdarzeń dla stworzenia dzieła literackiego nie jest plagiatem, nie jest również przestępstwem nadanie temu dziełu formy pamiętnika. Inna jest rzecz gdy autor utworu całkowicie opartego na fantazji twierdzi, że jest on oparty

na faktycznych wydarzeniach, lub gdy dla tych czy innych względów poruszając działalność ianego człowieka sam jednocześnie chce podszyc się pod jego osobę lub jego czyny. To wszystko tworzy sylwetkę i problem Triona-Briggs’a w powieści Locke’a, problem człowieka, który nie rozumiejąc swojej wielkości, nie chce być sobą. Nie zdając sobie sprawy ze swego geniuszu pisarskiego, który zdobył mu sławę w świecie literackim, popularność czytelników i miłość kobiety, ex-marynarz, szofer. Briggs, uparcie trwa w swej roli byłego agenta wywiadu w Rosji, i brnie w coraz to nowe kłamstwa sądząc, że tylko przytoczonym czynom i przeżyciom zawdzięcza swe dotychczasowe powodzenie. Problem dla pisarza pociągający. Locke z wrodzonym sobie talentem.. prześlizgnął się po powierzchni zagadnienia, zadzierzgnął wątlą akcję, która nabiera pewnego życia dopiero w końcu powieści, naszkicował chaotycznie sylwetkę Triona raz jako nieśmiałego chłopca, kiedy indziej, Iwa literackich salonów, w niebardzo przekonujący sposób wbrew swym zamierzeniom przedstawił ohydę otoczenia w jakim znalazła się w Londynie Oliwja. Na dodatek zmanifestował swój konserwatyzm przedstawiając środowisko postępowe inteligencji angielskiej jako zgrupowanie zaciekrzewionych, ograniczonych manjaków z jedną szują dla pełności obrazu, aby jednak dobić ostatecznie tych ludzi i ich ideologię musiał stwierdzić, że dają niedobłą herbatę, poprostu lurę...

Bohaterka powieści przemknąwszy razem z Locke’em po powierzchni londyńskiego życia szuka jeszcze jednej części społeczeństwa — mądrej, pięknej i poza dżentelmannem-majorem i lady spotkaną w teatrze, niestety jej nie znajduje, reszta dżentelmannów widocznie wyginęła — pewnie na wojnie, której reminiscencje odzywają się często.

Jest jeszcze rzecz trochę przykra dla czytelnika, trochę śmieszna. — Bohater powieści Locke’a — pisarz Triona porywa swych czytelników swym talentem szczególnie zdolnością technięcia życia w postaciach, charakterach swych bohaterów. — Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o Locke’u.

W. B.

Al. Lubicz-Wolska — Kosmate rączki — Bajka dla dzieci — Wyd. Domu Książki Polskiej — Warszawa 1936.

Są różne bajki — bajki dla dzieci i bajki dla dorosłych. Ostatecznie bajka jest takim samym dobrym sposobem wyładowania literackich zdolności jak i każdy inny — jak powieść czy poemat... a dzieje literatury wspominają wiele nazwisk głośnych bajkopisarzy.

Mam przed sobą bajkę — niewątpliwie — nawet gdyby to nie było na tytułowej stronie zaznaczone — bajkę dla dzieci. Autorka nagromadziła na 90-ciu stronicach wiele motywów fantastycznych zaczerpniętych z różnych popularnych bajek łącząc wszystko w jedną całość. Motywy nie nowe, całość nieco przeładowana, a powiązanie tego wszystkiego naraziło trochę na szwank logikę w tych miejscach gdzie bajka może a nawet musi być logiczna. Oryginalność ma tej bajce nadać pierwiastek słowiański wyrażający się jednak tylko w imionach działających osób i próby archaizowania języka, które zresztą wypadły nieszczególnie. Zaletą jednak, która niewątpliwie będzie stanowiła o powodzeniu tej bajki jest to, że jest ciekawa i długa... Przypomnijmy sobie ileż to razy byliśmy rozżaleni, że czytana ciekawa książka jest taka krótka. Tylko, że ciekawa książka była zawsze krótka...

Wydawnictwo jak zresztą prawie wszystkie wydawnictwa Domu Książki Polskiej bardzo staranne, miłe i estetyczne. Polecam je wszystkim Kolegom. Podchorążym jako gwiazdkowy prezent dla ich kuzynek, ale tych małych prawdziwych kuzynek...

W. B.

PRZED ŚWIĘTAMI



Redaktor Naczelny:
podechor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER

Sekretarz Redakcji: podchor. W. BRODZIKOWSKI
Kierownik artyst.: podchor. A. SIEMASZKO
Kierownik Administr.: podchor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa — Smolna 26/28. Konto P. K. O. 26.720
WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzurą: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Mileczarek, M. Mokrski, B. Nuskowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszkowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA“, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.